NUMER 3. **ROCZNIK I.** **MARZEC 1897.**

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dziecią̨tko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(Mat XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(Św. Franciszek Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* **Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.**

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

OD WYDAWNICTWA.

Dochodzą nas stąd i owąd skargi na nieregularne otrzymywanie, bądź niniejszego czasopisma, bądź listów z odpowiedzią.

W obec czego zwracamy uwagę naszych szanownych Pomocników, że

1) **„Wiadomości salezyańskie"** wysyłamy na ich ręce regularnie w **drugiej** połowie każdego miesiąca;

2) na każdy list, na każdą nadesłaną ofiarę lub jakąbądź przesyłkę, odpisujemy i za nią dziękujemy.

Kto więc z naszych Pomocników aż do **1go** następującego miesiąca nie otrzymał odpowiedniego numeru **„Wiadomości salezyańskich,"** —

lub kto w przeciągu najwyżej **dwóch** tygodni na swój list, nadesłaną składkę lub ofiarę, albo jakiegobądź rodzaju przesyłkę, nie otrzymał od nas odpowiedzi lub podziękowania, — może być pewien, że przesyłka (jego lub nasza) albo zaginęła, albo też dla zaszłych jakich nieprawidłowości lub przypadkiem w drodze została gdzie zatrzymana.

W jednym i drugim razie prosimy nas zawczasu o tem co zaszło uwiadomić, ażeby, otrzymawszy od nas potrzebne wyjaśnienia, módz, dopóki legalny (prawomocny) czas nie upłynął, na poczcie reklamować.



MISYONARZY SALEZYAŃSKICH,

wysłanych do południowej Ameryki w grudniu 1893 r.

Skreślił X. Stanisław Cynalewski. *)

Nie wiem, czy zdołam zadosyć uczynić życzeniom i ciekawości drogich mi osób, o których niekłamanej dla mnie życzliwości miałem sposobność się przekonać w ostatnim zwłaszcza czasie przed mą podróżą wzdłuż i w poprzek oceanu atlantyckiego, z Turynu do Ameryki południowej, — do Patagonii.

Proszono mnie o podanie niektórych szczegółów z owej podróży; — owszem, nie brak mi na dobrych po temu chęciach, zastrzegam się jednakże z góry, by wymagania drogich mych przyjaciół nie powodowały się zbyt bujną wyobraźnią, żądającą przedstawienia

---

*) X. Stanisław Cynalewski, syn Michała i Karoliny, z domu Smudzińskiej, urodził się dnia 20 września r. 1866 w Grylewie, powiecie wągrowieckim, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Nauki pobierał w szkole ludowej aż do 14go roku życia najprzód w Brzeznach, potem w Łeknie a na końcu w Stempuchowie (pow. wągrow.). Po wyjściu ze szkoły pomagał ojcu w gospodarstwie; u nauczyciela p. Kremera w Środzie odbywał dwukrotnie kursa pszczelnicze, któremu to zawodowi z zamiłowaniem się oddawał. Jego odczyt „*O pszczole*,“ miany na Walnem Zebraniu kółek rolniczych powiatu wągrowieckiego w Wągrówcu dnia 11 lutego 1886 r. został wydrukowany i w kilku set egzemplarzach rozpowszechniony.

Życzeniem ojca było, aby wyuczywszy się młynarstwa, objął po nim gospodarstwo wraz z wiatrakiem. Posłuszny woli rodzicielskiej zajmował się jednem i drugim, czas tej nauki jednakże wyzyskał należycie na uzupełnienie swych wiadomości, czytając dużo (—„*i to z korzyścią*,“ pisze o nim brat jego, Witold, obecnie nauczyciel w Nowym dworze pod Koronowem, „*jak się o tem, przybywając jako seminarzysta corocznie na wakacye do domu, sam przekonywałem*“) książek rozmaitej treści, pożyczanych bądź z *Czytelni ludowej*, bądź skądinąd nabytych.

Gorące pragnienie nabycia wiedzy, głównie jednakże powołanie wewnętrzne i postanowienie wstąpienia do zakonu, które powziął był jeszcze w latach chłopięcych czytając przy paseniu bydła żywot św. Stanisława Kostki, skłoniły go do opuszczenia domu rodzicielskiego. Przyjął wprawdzie chwilowo obowiązki urzędnika gospodarczego najprzód w Niemczynie, a potem w Kaiserfelde (w powiecie mogilnickim), był to jednakże tylko pozór, aby się módz łatwiej wydostać z domu i pójść za głosem powołania.

W Krakowie, dokąd najprzód się był udał, nie znalazłszy dla dojrzałego wieku u XX. Misyonarzy tego, czego tak gorąco zawsze pragnął, tj. sposobności uczenia się, po kilkutygodniowym pobycie u nich zgłosił się o przyjęcie do Zgromadzenia salezyańskiego w Turynie.

Trafił w nieszczególną porę. Usposobienie ówczesne w Zgromadzeniu salezyańskiem dla Polaków nie bardzo było przychylne. Przyczyną tego było 50ciu czy 60ciu młodych Polaków, którzy krótko przedtem, jeden po drugim, po krótszym lub nieco dłuższym pobycie w domach salezyańskich, ostatecznie bądź sami się wynieśli, bądź ze Zgromadzenia byli wydaleni, nie zostawiwszy nigdzie po sobie chlubnego wspomnienia. Obawiano się po prostu przyjmować Polaków. Uważano ich jako naród niedołężny i skarłowaciały, — materyał kruchy lub całkiem zbutwiały, z którego nie sposób zbudować coś, coby Bogu wyszło na chwałę, a ludziom na pożytek.

Stąd nie dziw, że mistrz nowicyuszów i ówczesny dyrektor *Seminaryum dla misyi zagranicznych* we Valsalice, X. Juliusz Barberis, długo się wahał, zanim uwzględnił prośbę Stanisława Cynalewskiego. Kiedy jednakże chodziło o danie mu ostatecznej odpowiedzi (było to wieczorem, 12 listop. 1889 r.), a jedyny kleryk Polak, który obok X. Bronisława Markiewicza i księcia Augusta Czartoryskiego ze starego pokolenia w Zgromadzeniu był pozostał, wstawiając się za swym rodakiem u X. dyrektora, wyczerpawszy już wszelkie argumenta przemawiające za nim, zwrócił nareszcie uwagę swego Przełożonego na jutrzejsze święto i dodał, że widocznie św. Stanisław Kostka, jego Patron, sprowadza go do Zgromadzenia, — przyjął go do szkoły przygotowawczej valsalickiej „*na cześć wielkiego świętego Patrona polskiego*,“ jak się wyraził, podpisując *placet*. W tym samym czasie Stan. Cynalewski odprawiał w Krakowie nowennę do św. Stanisława Kostki, a gdy w pierwszej połowie grudnia przybył do Turynu i od owego kleryka dowiedział się o szczegółach, towarzyszących jego przyjęciu, oświadczył, że łaskę tę bez wątpienia ma do zawdzięczenia orędownictwu swego św. Patrona. „*Już to po raz trzeci*,“ dodał, „*w ważnej chwili mego życia dopomógł mi św. Stanisław Kostka.*“

W Valsalice stał się Cynalewski wspólnie z Józefem Kopczyńskim podwaliną nowego pokolenia młodzieży polskiej salezyańskiej. Od nich dwóch właśnie datuje się ów nadzwyczajny, uderzający napływ młodzieży ze wszystkich stron Polski do Zgromadzenia, założonego przez X. Bosko, sięgający obecnie poważnej liczby 250. Oni dwaj wraz z tymi, którzy po nich przyszli, nietylko naprawili niepochlebną opinię, jaką Salezyanie aż do owego czasu mieli o Polakach, lecz udowodnili, że młodzież polska i co się tyczy pilności w przykładaniu się do nauk i co do wzorowego sprawowania się, żadnej innej nie ustępuje, i że nie brak jej wytrwałości.

Odbywszy kurs przygotowawczy we Valsalice, wstąpił r. 1892 do nowicyatu w Ivrei. W jednem i drugiem kolegium należał do uczniów celujących w naukach i pod każdym względem wzorowych, sposobem zaś obejścia się, zawsze uprzejmym i pełnym taktu i powagi, niewolił sobie serca rodaków i wielki na nich wywierał wpływ.

Roku 1893, wyszedłszy z nowicyatu i złożywszy śluby wieczne, udał się na misye.

obrazów, jakich spodziewaćby się chyba można od wyposażonego od Pana Boga szczególniejszymi talentami pisarza; dlatego umysłom, rozbudzonym zbyt barwistemi nadziejami, nie radzę nawet zapuszczać się dalej, jeżeli uniknąć pragną nieprzyjemnego zawodu.

Dzień 30 listopada 1893.

Pod koniec listopada 1893 r. liczne grono zakonników, złożone z sześćdziesięciu kapłanów, kleryków i braci Zgromadzenia salezyańskiego, oczekiwało w **Seminaryum dla misyi zagranicznych** we Valsalice niemal z niecierpliwością dnia, w którym udać się mieli w podróż tam, gdzie głos serca z miłości ku bliźnim ich powoływał — na misye.

A jednak gdy dzień ten tak bardzo upragniony nareszcie zawitał, z ciężkiem sercem opuszczaliśmy wszyscy drogie Seminaryum valsalickie, miejsce tylu miłych wspomnień z kilku lat tamże przepędzonych, gdzieśmy przy grobie nieodżałowanej pamięci naszego Założyciela i Ojca, X. Jana Bosko, czerpali siłę dla ducha, gdy przyszło czy stoczyć walkę wewnętrzną, czy odeprzeć pokusę; gdzieśmy zaczęli pierwsze kroki stawiać na drodze życia duchownego pod kierunkiem ukochanych Przełożonych: Ojca Polaków, X. Barberisa, i księdza Piscetty, wspierając się po bratersku pomiędzy sobą radą, zachętą i modlitwą, — ze ściśniętem sercem i powoli opuszczaliśmy kolegium i kapliczkę, która kryjąc w swem łonie doczesne szczątki niezapomnianego Ojca, jego heroicznymi, za życia dokonanymi czynami, przemawiała codziennie do naszych serc, wskazując niejako drogę, którą w ślad za nim, jako wiernym jego synom, iść nam należy, jeżeli pragniemy osiągnąć to szczęście, jakiem nie wątpimy iż cieszy się dzisiaj w przybytkach niebieskich ten wielki miłośnik dusz, odkupionych krwią Chrystusa, wielbiciel Maryi Wspomożycielki, Ojciec ubogiej dziatwy, krzewiciel wiary i dobrych obyczajów.

Lecz trudno — ponieważ dość wcześnie zdążać musieliśmy do **Oratoryum**, gdzie w ten dzień X. Rua odprawić miał Mszę św. dla misyonarzy przy ołtarzyku w kapliczce przyległej do sypialni księdza Bosko, przy którym tenże, gdy dla słabości mieszkania opuszczać już nie mógł, sprawował ofiarę Mszy św. —, zatem czas, którybyśmy chcieli jeszcze przedłużyć na błogą rozmowę duchową z ukochanym Ojcem przy jego grobowcu, byłby raczej uczynił nas winnymi wobec podanych nam przez niego reguł, a nakazujących doskonałe posłuszeństwo. Pohamowawszy więc, o ileśmy zdołali, wylew miłości i uczuć synowskich, ucałował każdy z nas święte dla nas miejsce i z westchnieniem i smętkiem pożegnał się, może na zawsze, z tym drogim zaułkiem Seminaryum.

Jeżeli jednak mym współtowarzyszom podróży rozstawać się z tem miejscem rozkoszy duchowej nie przychodziło tak łatwo, to jeden powód więcej żałosne wywierał skutki na mnie, zmuszonego opuszczać liczne grono kształcących się tamże braci rodaków, przedewszystkiem zaś Osobę, której poświęcenie się dla mnie, połączone z wszelkiego rodzaju trudami i pracą, dało mi możność osiągnięcia stanowiska, na jakiem z łaski Bożej obecnie się znajduję. O! jeżeli słowa podzięki w owej chwili nie odpowiadały winnej Ci, drogi mój Ojcze i Dobroczyńco, odemnie wdzięczności, Najwyższy czytał wówczas w mem sercu uczucia, które jeżeli kiedykolwiek, to tem więcej w owej chwili pożegnania się z Tobą, silniej się odezwały w głębi mej duszy, która błagała Pana Zastępów o należytą dla Ciebie nagrodę.

Przybywszy do **Oratoryum**, po Mszy św. odprawionej na naszą intencyą w kapliczce prywatnej księdza Bosko, X. Rua we formie kilku przestróg odnośnie do życia, które nas czekało na polu przyszłej naszej pracy, dał nam różne upominki duchowe. Upominki te były prawie takie same, jakie za życia swego zwykł był dawać X. Bosko udającym się do Ameryki salezyańskim misyonarzom; ponieważ zaś większa część z nas przed rozpoczęciem właściwych misyi wśród Indyan miała wprzódy spędzić kilka lat w kolegiach salezyańskich, w różnych republikach południowo — amerykańskich rozsianych, w charakterze czy to asystentów, czy też nauczycieli, zatem upominki O. Jenerała odnosiły się po większej części do życia miejskiego.

Szukajcie przedewszystkiem dusz i te starajcie się zawsze Panu Bogu pozyskać, nigdy zaś nie uganiajcie się za jakiegobądź rodzaju dostojeństwy i godnościami, a już niechaj daleką będzie od serc waszych wszelka myśl szukania ziemskich zysków i rozkoszy.

Bądźcie uczynni i grzeczni dla każdego, unikajcie jednakże jak zarazy rozmów i poufałości z osobami drugiej płci lub podejrzanych obyczajów.

Nie udawajcie się nigdzie z wizytami, jak tylko w razie jakiejś potrzeby lub z pobudek miłości chrześcijańskiej.

Nie przyjmujcie nigdy zaproszeń na uczty, chyba dla bardzo ważnych powodów, a w takim

razie starajcie się być ile możności we dwóch.

Miejcie szczególniejszą pieczę nad chorymi, dziećmi, starcami i ubogimi; w ten sposób zjednacie sobie błogosławieństwo Boże i pozyskacie życzliwość u ludzi.

Bądźcie z szacunkiem i uległością dla wszelkiej władzy, tak świeckiej jak duchownej.

Spotykając gdzie na drodze osoby poważne i godne szacunku, pozdrawiajcie je zawsze uprzejmie. To, co tu mówię, odnosi się przedewszystkiem do osób duchownych i członków wszelkich Zgromadzeń religijnych płci obojga.

Unikajcie próżnowania i czczych gadanin. Zachowujcie nadzwyczajną wstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu; używajcie snu tylko tyle, ile ściśle go potrzeba, aby pokrzepić siły ciała.

Miejcie zawsze w wielkiem poważaniu i czci wszystkie Zgromadzenia zakonne naszego świętego Kościoła i mówcie o nich tylko dobrze.

Pamiętajcie także o Waszem zdrowiu. Pracujcie, ile tylko możecie, czyńcie to jednak w taki sposób, by nie nadwerężyć sił fizycznych i przyprawić się z własnej winy o niemoc.

Żyjcie tak, ażeby wszyscy poznali, że jesteście rzeczywiście ubogimi, czy to w ubraniu, czy co się tyczy używania pokarmów, czy w pomieszkaniach waszych, a będziecie bogatymi w oczach Pana Boga i zawładniecie sercami ludzkiemi.

Miłujcie się nawzajem, doradzajcie sobie, napominajcie się wzajemnie; nie żywcie nigdy zazdrości lub gniewu jeden ku drugiemu, lecz owszem niech powodzenie jednego będzie powodzeniem wszystkich razem wziąwszy i odwrotnie: bóle i cierpienia współbrata niech będą uważane za wspólne bóle i wspólne dolegliwości, każdy zaś niech się stara ile może aby je oddalić a przynajmniej ukoić.

Zachowujcie dokładnie reguły Zgromadzenia salezyańskiego i nie zaniechajcie nigdy odbyć raz w miesiąc ćwiczenie dobrej śmierci, *do czegoście dotychczas byli przyzwyczajeni.*

Codziennie rano polecajcie Panu Bogu prace i zajęcia, którym w ciągu dnia oddawać się macie, przedewszystkiem zaś słuchanie spowiedzi, lekcye szkolne, wykład katechizmu i kazania.

Gdziekolwiek będziecie, rozkrzewiajcie wszędzie i zawsze nabożeństwo do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, Opiekunki i Ochrony naszego Zgromadzenia, do Chrystusa Pana w Najśw. Sakramencie utajonego, jak również częste przystępowanie do Sakramentów św.

Ażeby w młodzieży bądź wzbudzić bądź utrzymać powołanie do stanu duchownego, wpajajcie w nią usilnie: 1° zamiłowanie cnoty czystości; 2° wstręt i odrazę do występku tejże przeciwnego; 3° unikanie złych towarzyszów; 4° częste przystępowanie do Stołu Pańskiego.

Z dziatwą i młodzieżą obchódźcie się zawsze z nadzwyczajną miłością i wyrozumiałością; trzymajcie się ściśle systemu uprzedzającego, *jakim się kierujemy w naszych szkołach.*

W stosunkach z ludźmi, ile razy przyjdzie wam sądzić sprzeczki i zwady, pamiętajcie nie wydawać wyroku, nie wysłuchawszy wpierw obydwóch stron.

Ile razy będziecie się czuć znużeni i upadli na siłach, kiedy dla doznanych zawodów zniechęcenie pocznie was ogarniać, gdy bóle wszelkiego rodzaju zaczną wam dolegać a złość ludzka nie przestanie ścigać, kiedy pokusy na was natrą a wy osłabniecie na duchu i poczniecie się trwożyć, wtenczas weźmijcie do ręki wasz krzyż misyonarski i spojrzyjcie na Chrystusa Pana na nim rozpiętego, a widok ten doda wam odwagi, pokrzepi wasze siły, uśmierzy wasze troski i natchnie was na nowo zapałem do zawodu, któryście dobrowolnie sobie obrali.

Takie i tym podobne były upominki duchowe, któreśmy otrzymali na drogę. Ksiądz Rua nie omieszkał jednakże obdarzyć każdego z nas innego jeszcze rodzaju upominkami, jak: medalikami, krzyżykami, do których liczne były przywiązane odpusty i t. p., w czem i inni Przełożeni pośli za jego przykładem.

Resztę czasu aż do południa spędziliśmy na uzupełnieniu przyborów do podróży. Przy obiedzie zaszczycił nasze grono swą obecnością Arcybiskup turyński, X. Dawid hr. RICCARDI, wraz z kilkunastu znaczniejszemi osobistościami z miasta, a naszymi dobrodziejami. Przypadek zrządził, że wyznaczono mi miejsce w bliskości X. Arcybiskupa. Najdostojniejszy ten Arcypasterz jeszcze nie tak dawno temu przy okazyi obchodzenia uroczystości św. Tomasza z Akwinu w seminaryum valsalickiem dał był dowód wielkiej dla mych rodaków przychylności; to też teraz, skoro tylko się dowiedział, że jestem Polakiem, zaraz uprzejmie zawiązał ze mną rozmowę, dopytując się szczegółowo o młodzież polską salezyańską, ilu już ich poszło do nowicyatu w Foglizzo i Ivrei, wypytywał się o stosunki religijne w Polsce we wszystkich trzech zaborach i t. p.

W ciągu obiadu X. Rua wniósł toast na cześć X. Arcybiskupa, wyrażając mu wdzięczność, że raczył wziąć udział w skromnej naszej uczcie misyonarskiej. X. Arcybiskup krótką przemową, pełną jak najszczerszych życzeń dla nas, zakończył obiad, zasługujący tym razem na nazwę więcej niż skromnego z powodu obfitych i wykwintnych przysmaków, jakie w ciągu jego Pomocnicy turyńscy nam przysyłali.

Około godziny 3ej po południu całe nasze grono zebrało się w presbyteryum kościoła Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

Jestto rzeczywistą prawdą, co pisała była turyńska *Italia reale*, wspominając w swojej *Cronaca* o mającej się w czwartek, 30go listopada, po południu, odbyć w kościele *Maria Ausiliatrice* ceremonii, że rzadko zdarzy się widzieć coś więcej wzruszającego, bardziej rzewnego, a umysł ku najwyższym ideałom religii katolickiej podnoszącego, nad ceremonię pobłogosławienia i pożegnania misyonarzy, jakie zacząwszy od r. 1875 co rok się odbywa w kościele salezyańskim Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki na *Valdocco* w Turynie. Nie dziw więc, że zawczasu o niej uwiadomieni Turyńczycy, chociaż już więcej razy byli obecni na podobnej funkcyi, to jednak, jak gdyby po raz pierwszy o niej byli posłyszeli, zbiegli się na nią pomimo zimna dokuczliwego i deszczu, który stawał się coraz nieznośniejszym i siekł tem gwałtowniej, im bardziej się zbliżała godzina, na ceremonią wyjazdu naszego przeznaczona, zapełniając kościół zbitą masą w nastroju uroczystym. Lecz nietylko z Turynu, bo i z różnych innych miejscowości, tak pobliskich jak i odleglejszych, przybyło mnóstwo osób różnego stanu, bogatych i ubogich, duchownych i świeckich, tak iż zanim jeszcze współmisyonarz nasz i kierownik tegorocznej wyprawy, X. SOLARI, rozpoczął konferencyą, cały kościół był już dosłownie zapchany.

Po odczytaniu jednego rozdziału z podręcznika, co dopiero wydanego, dla użytku dekuryonów i dyrektorów dyecezalnych naszych Pomocników, i po odśpiewaniu hymnu, jak zwykle po mistrzowsku wykonanego przez chłopców z Oratoryum, ukazał się na ambonie X. Solari, który rozpoczął swoją przemowę na tekst, wzięty z 2go listu św. Pawła Apostoła do Koryntyan: *Charitas Christi urget nos* [1]) (miłość Jezusa Chrystusa pobudza nas). Mówił płynnie, wyraźnie i widocznie pod wpływem owej szczytnej cnoty, którą sobie był obrał za przedmiot konferencyi. Osnowa tejże jest następująca:

Wszyscy mężowie o duchu prawdziwie apostolskim noszą na sobie wyryte znamię miłości chrześcijańskiej, — cnoty, która jest istotą samegoż Pana Boga. „Bóg jest miłością,“ pisze św. Jan, „a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim [2]).“ *„Mamy,“ mówi św. Paweł, „wiarę, nadzieję i miłość, lecz z tych większą jest miłość* [1]).“ *„Na miłości Pana Boga i bliźniego,“ mówi Chrystus Pan, „wszystek zakon zawisł i prorocy* [2]).“ *Nie dziwna więc, że na widok mężów o podobnem znamieniu porusza się świat; nie dziw także, że się poruszył, kiedy powstał X. Bosko, nasz nigdy niezapomniany Ojciec i Założyciel. Owe piętno gorliwości o chwałę Bożą, owe wzniosłe znamię miłości chrześcijańskiej widzieliśmy jaśniejące w nim, którego słusznie zwano św. Wincentym a Paulo XIX wieku.*

Tutaj kaznodzieja przytoczył różne szczegóły i wspomnienia z życia księdza Bosko, szczególnie z czasu powstawania pierwszych zakładów salezyańskich, przyczem nie omieszkał wskazać na ogół dzieł, dokonanych przez świątobliwego męża.

X. Bosko nigdy nie znał, co to wypoczynek; do podejmowania coraz to innych dzieł pobudzanym był z wewnątrz dziwną mistyczną tęsknotą za niebem, ustawicznem pragnieniem zbawienia dusz. Samotny, w zaciszu swej celki, siadywał często przed rozłożoną mapą jeograficzną i przebiegał po niej okiem szukając tych krain, do których jeszcze nie dotarło światło Ewangelii. Na widok tylu okolic świata, jęczących dotąd pod jarzmem szatana, serce jego się rozrzewniało a oko zachodziło łzą. Synom swoim mówił z takim zapałem o nieszczęśliwych, od tylu już wieków całkiem opuszczonych dzikich plemionach, że choć Zgromadzenie było jeszcze młode i stosunkowo niewielu liczyło członków, postanowiono natychmiast rozpocząć w imię Boże misye salezyańskie. Wtenczas obszerne i całkiem nowe pole do działania otworzyło się przed X. Bosko, a on ogarnął je z zapałem: to co przedtem było tylko marzeniem, przeszło niebawem w czyn i począwszy od owego pamiętnego roku puszczają się Salezyanie corocznie na niezmierne morskie przestworza i docierają do najodleglejszych krajów.

Nad wyraz wzruszającym stał się kaznodzieja, kiedy opisywał swój pierwszy wyjazd na misye. Trzynaście już lat upłynęło od owego dnia, a on go umiał jeszcze teraz uprzytomnić żywo sobie i słuchaczom. X. Bosko u stóp ołtarza dawał mu ostatni uścisk ojcowski, a do ucha szepnął mu ostatnie słowo pożegnania i ostatnią dał mu na daleką drogę pamiątkę. Owe pamiętne słowa, dane mu wtedy przez niezapomnianego Ojca, — słowa, które zostaną wyryte w sercu jego

[1]) 2 Cor. V, 14.
[2]) 1 Joan. IV, 8 i 16.

[1]) 1 Cor. XIII, 13.
[2]) Matth. XXII, 40.

dopóki żyć będzie, opiewały: *da mihi animas, caetera tolle* (daj mi dusze, o resztę się nie troszcz).

I to jest i powinno być jedynem hasłem misyonarza katolickiego: szukać dusz, ażeby ile możności przyczynić się do ich zbawienia, a o resztę nie dbać.

W Ameryce biorą misyonarze salezyańscy w swoją opiekę przedewszystkiem dwie klasy tamtejszej ludności: wychodźców z Europy i biednych, od wieków opuszczonych Indyan.

Pożałowania godni nasi współrodacy, którzy udali się byli do Ameryki, aby tam poszukiwać rzekomych skarbów, zatopieni w sprawach doczesnych, w krótkim czasie przestają myśleć o zbawieniu swej duszy, zaczynają stronić od kościołów, a w końcu całkiem zaprzestają uczęszczać do Sakramentów świętych, tak jak gdyby Bóg, dusza i wieczność były to słowa bez wartości, mogące co najwyżej służyć za postrach dla niewiast i dzieci. Biedni ci nasi ziomkowie, zmuszeni oddawać się ciężkiej i wszystkie siły fizyczne i władze umysłowe pochłaniającej pracy na to, ażeby zgromadzić nieco grosza i zapewnić sobie i swej rodzinie jakie takie utrzymanie, pozostawiają zwykle swe dziatki samym sobie, które też wyrastają, nieprzymierzając jak bydełko, nie znając najprostszych zasad wiary i dobrych obyczajów. Otóż misyonarze nasi szukają właśnie takich wychodźców, a znalazłszy ich, przypominają im, że jest Bóg na niebie, że czeka ich wieczność, że mają duszę, którą trzeba zbawić i że nadeszła chwila, w której potrzeba im na prawdę wziąć się do zaskarbiania sobie zasług na królestwo niebieskie. Dlatego to Salezyanie stawiają kościoły w tych miejscowościach, gdzie nasi współrodacy w większych przebywają masach, aby im ułatwić słuchanie Mszy św. i przystępowanie do Sakramentów; dlatego tak misyonarze jak niemniej Siostry Najśw. Panny Maryi Wspomożenia Wiernych zakładają schroniska, kaplice świąteczne i kolegia, w których zbierają młodzież płci obojga, ażeby ją pouczać i dać jej wychowanie chrześcijańskie, która to młodzież w przeciwnym razie rosłaby w niedowiarstwie i grzęzła w złych obyczajach, buntując się nietylko przeciw władzy rodzicielskiej, lecz także przeciw wszelkiej innej zwierzchności, i zeszłaby ostatecznie na istoty bez czci i wiary, zakałę ojczyzny naszej.

Misyonarze salezyańscy są również tymi, którzy niosą radę, a bardzo często nawet pomoc materyalną takim biednym wychodźcom a rodakom naszym, którzy zawiedzeni w swoich oczekiwaniach, — rozbitki losu, — nie znajdują w owych odległych krainach nic krom nędzy i głodu: starają się im o kawałek chleba, wynajdują im pracę, polecają ich osobom wpływowym, nieraz nawet odsyłają napowrót do ojczyzny, ażeby nie zmarnieli na ziemi obcej.

Oto co czynią Salezyanie w Ameryce południowej dla dobra naszych współrodaków wychodźców.

Nie tu jednakże kres ich działalności w Nowym świecie. Miłość Chrystusowa, która ich wciąż pobudza, każe im iść dalej i ogarnąć również zdziczałe plemiona tubylcze, owe liczne szczepy Indyan, nie znające wcale a wcale wartości duszy swojej, — ludzi, którzy żyją jak dzikie zwierzęta i z taką łatwością mordują jeden drugiego, jak u nas zarzyna się bydlę. Różne rządy usiłowały już wprawdzie pozyskać ich dla cywilizacyi, ale niestety czyniły to z bronią w ręku. Bronią atoli, która jedna zdolna jest obłaskawić owych nieszczęśliwych, nie jest karabin, lecz krzyż. To też misyonarz z krzyżem na piersiach, nie zważając na tysiące niebezpieczeństw, jakie mu zewsząd grożą, puszcza się śmiało do nich, mówi im o religii miłości, głosi, że czy czarni, czy żółci, czy biali, wszyscy jesteśmy sobie braćmi, że źle sobie postąpił, kto ich upośledzał i znieważał, i że Pan Bóg, nasz wspólny Ojciec, ukarze ich ciemięzców, jak na to zasłużyli; i tak powoli zaczyna ich przywiązywać do siebie, później pouczać w rzeczach Wiary i nareszcie chrzcić. Niewymowna radość przepełnia serce misyonarza, kiedy widzi się otoczonym od takich ludzi, przedtem dzikich i mordem dyszących, a których on w stosunkowo krótkim przeciągu czasu zdołał zamienić w potulnych baranków, w chrześcijan, miłujących Boga i bliźniego. W takich chwilach misyonarz zapomina całkiem o sobie samym, znosi chętnie wszelki trud, każdą niewygodę, zwycięża wszystkie przeszkody, stawia mężnie czoło jakimkolwiek niebezpieczeństwom, nie daje się powstrzymać niczem, choćby się miał nawet spotkać z zatrutą strzałą, puszczoną przez niewdzięcznego Indyanina, nie waha się ani cofa, lecz odważnie postępuje naprzód, szczęśliwy na samą myśl, że i on mógłby dostąpić tej łaski, t. j. iżby mógł wnijść do królestwa niebieskiego, ozdobiony palmą męczeństwa.

Zapał kaznodziei, kiedy mówił te słowa, zapał szczery i z głębi uczucia dobyty, okazywał jasno, że mężne jest jego serce i że całą duszą umiłował zawód misyonarski.

W dalszym ciągu konferencyi przypominał X. Solari zebranym Pomocnikom, że misye potrzebują poparcia wszystkich prawych chrześcijan, i to poparcia dwojakiego: *duchownego*, czyli modlitwy, i *materyalnego*, albo jałmużny. Ażeby zaś tem więcej zachęcić słuchaczy do ofiarności na

cele misyjne, przywiódł im na pamięć słowa, które często powtarzał X. Bosko salezyańskim Pomocnikom, że środkiem najskuteczniejszym do otrzymania jakiejbądź łaski duchowej lub doczesnej *za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych* jest wspieranie misyi salezyańskich; że jeżeli Pan Nasz Jezus Chrystus swoją najdroższą krew aż do ostatniej kropli przelał dla zbawienia naszego, to byłoby z naszej strony największą niewdzięcznością, gdybyśmy Mu odmawiali daniny z dostatków ziemskich tam, gdzie idzie o zbawienie tylu nieszczęśliwych Indyan; że jeżeli jałmużna, dana ubogiemu, zmniejsza, a często nawet całkiem gładzi winę za grzech popełniony, wyjednywa nam miłosierdzie Boskie i otrzymuje życie wieczne, — to tem większą pociągnie za sobą nagrodę jałmużna udzielona w tym celu, aby pozyskać dusze tylu tysięcy opuszczonych pogan; że owi nowopozyskani dla królestwa niebieskiego i katolickiego Kościoła chrześcijanie, którym misyonarz często wspomina o dobrodziejach, mieszkających hen daleko za *wielką wodą:* — w głębi stepów i płaszczyzn bez końca, — gdziekolwiek ich nawiedzi: u stóp Kordylierów czy na morskiem wybrzeżu, — klękają wspólnie ze swym Ojcem duchownym i zanoszą przed tron Wszechmocnego Boga gorące modły za swymi dobrodziejami; że wreszcie w dzień sądu ostatecznego Król chwały niebieskiej, zwróciwszy się do sprawiedliwych, którzy będą po Jego prawicy, i powiedziawszy im: *łaknąłem, a daliście mi jeść: pragnąłem, a napoiliście mnie: byłem gościem, a przyjęliście mnie: nagim, a przyodzialiście mnie: chorym, a nawiedziliście mnie: byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie; — to coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili* — zawoła do nich wielkim głosem wskazując owych byłych pogan, którym oni wyświadczyli dobrodziejstwa i jałmużnami swemi zbawić się dopomogli: *Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo, zgotowane wam od założenia świata.*

W końcu pożegnał się kaznodzieja, silnie wzruszony i tylko z trudnością powstrzymując łzy, w imieniu wszystkich misyonarzy, z Pomocnikami salezyańskimi. Była to chwila uroczysta, rzewna, i łatwiej przychodzi ją sobie wyobrazić, aniżeli opisać.

Mowa pożegnalna X. Arcybiskupa turyńskiego.

Skoro tylko X. Solari zakończył swoją konferencyę, zabrzmiał na chórze poważny hymn, podczas którego wyruszył z zakrystyi długi szereg asysty. Na czele szedł tak zwany *mały kler*, składający się z chłopców, ubranych w różnokolorowe sutanny i komże, za nimi postępowali Przełożeni **Oratoryum** w komżach, za tymi właściwy kler w dalmatykach i kapach, a uroczysty pochód zamykał Celebrans, Najprzew. X. Arcybiskup Dawid hrabia Riccardi.

Presbyteryum zajmowali misyonarze, ustawieni w rzędach, a poza kratą, po stronie Ewangelii, na osobnem podwyższeniu, klęczały Siostry **Panny Maryi Wspomożenia Wiernych.** Wystawiono Najśw. Sakrament, odśpiewano na głosy *Tantum ergo*, Najprzew. X. Arcybiskup udzielił uroczyście błogosławieństwa, poczem odmówiono modlitwy za udającymi się w podróż.

X. Arcypasterz, nadzwyczaj wzruszony, nie był w stanie powstrzymać swych uczuć i na zakończenie przemówił z zapałem do misyonarzy i obecnych. Improwizacyę jego podaję w tekście podanym przez *Bollettino salesiano* w zeszycie styczniowym r. 1894.

„Turyńczycy!“ zawołał, „oto nowa wyprawa misyonarzy księdza Bosko! . . . . Rzecz sama w sobie podziwu godna, tem więcej zaś godna podziwienia, im częściej się powtarza! Zgromadzenie salezyańskie, podobnie jak Kościół katolicki, dostarcza coraz to innych objawów wiary; jest zgoła niewyczerpanem w świadczeniu miłości chrześcijańskiej.

„Oto znowu 60 misyonarzy opuszcza ojczyznę, rodziców i krewnych, znajomych i przyjaciół, ażeby zanieść światło Ewangelii ludom, które dotąd jeszcze w ciemnościach i cieniu śmierci siedzą. Widok to do głębi przejmujący, wspaniały!

„O drodzy misyonarze, czemuż odjeżdżacie? czemu opuszczacie ognisko domowe, ojca, matkę, rodzinę, przyjaciół i miłą ojczyznę? Czemu nas chcecie opuścić? Przecież tyle dobrego można zdziałać także i tutaj pomiędzy nami! . . . Lecz nie, — owszem, jedźcie! jedźcie i nieście narodom, do których się udajecie, wieść, że ojczyzna nasza pomimo siły złego, jakie w niej grasuje, jest ciągle jeszcze środowiskiem wiary, wiary w Boga, który nas stworzył, który nas uczynił chrześcijanami i który wszystkich nas pragnie zbawić. Jedźcie i samą Waszą obecnością

w Nowym Świecie bądźcie żywym przykładem i stańcie się bodźcem dla tych naszych pożałowania godnych współrodaków, którzy zaledwie stanęli na ziemi obcej, już nie znają prawd wiary i zapomnieli o tem, jak wielkim ona jest darem Bożym. Niestety! jaka oziębłość, jaka obojętność w rzeczach wiary panuje także tutaj u nas, wśród chrześcijan naszej ziemi ojczystej! Ileż to z nich żyje bezmyślnie i bez pamięci na wieczność, na sąd Boży, na ostateczne rzeczy, które nas wszystkich czekają, jak gdyby ich Bóg i dusza przestali już obchodzić. Nieszczęśliwi! Oni nie wiedzą, ani pojmują, jak wielkim skarbem jest wiara!

„Wy wyjeżdżacie, — więc niech przynajmniej ten Wasz odjazd przemówi do ich serca, poruszy do głębi i doprowadzi do tego, ażeby się zastanowili nad sobą samymi, ażeby już raz strząśli ze siebie powłokę obojętności, która ich pokrywa, ażeby uznali, że wiara, którą na chrzcie św. przyjęli, ma rzeczywiście wartość nieoszacowaną i że obowiązkiem, powinnością ich jest zastósować do niej swoje uczynki.

„Turyńczycy! misyonarze wszystko opuszczają dla wiary, dla Pana Boga, dla Jezusa Chrystusa, dla zbawienia dusz. A Wy, czy ze swej strony niczem się nie przyczynicie do zbawienia tylu dusz, odkupionych krwią przenajdroższą Jezusa Chrystusa? Przyłóżcie rękę do dzieła także i Wy, Turyńczycy, a to popierając jałmużną zakłady księdza Bosko. Misyonarze salezyańscy, aby rozszerzać Wiarę św., ochoczo poświęcają siebie samych, dają w ofierze swoje osoby, swoją pracę i znoje, więc Wy poświęćcie na ten cel przynajmniej część Waszych dostatków; przykład, jaki Wam dają, niech Wam będzie pobudką do składania wielkodusznych ofiar, jałmużn, które ułatwią zbawienie dusz Waszych własnych, przyczynią się do zbawienia dusz bliźnich i wyjdą niewątpliwie na pożytek ogólnej sprawy Kościoła katolickiego.

„O drodzy misyonarze, o czcigodne Oblubienice Jezusa Chrystusa, a więc odjeżdżacie! . . . Lecz zgoła inny cel Was pobudza do opuszczenia kraju ojczystego, inna myśl Was prowadzi, aniżeli ta, która corocznie wiedzie na obczyznę tylu naszych współrodaków. Oni bowiem wychodzą po to, ażeby szukać za morzem szczęścia, opuszczają rodzinę dla spodziewanego złota, wychodzą, ponieważ ojczyzna nie może im już dostarczyć chleba powszedniego. Wy przeciwnie wyruszacie nie po to, ażeby tam szukać chleba, tem mniej w celu zgromadzenia złota, lub gonienia za marnem szczęściem, o ile go dostarczyć może ten świat pełen ułudy: — wyjeżdżacie, ażeby nieść chleb duchowny i doczesny dzikim plemionom, opuszczacie kraj ojczysty, ażeby im zanieść światło wiary i cywilizacyi, wyjeżdżacie, ażeby im zanieść prawdziwą cywilizacyę chrześcijańską, wychodzicie jednem słowem po to, ażeby zyskać dusze dla Jezusa Chrystusa, za które krew Swoją przenajdroższą przelał na krzyżu.

„Biedni nasi współrodacy wychodźcy! jakąż w nas wzbudzają litość! oni wychodzą z przymusu, wychodzą po to, ażeby za morzem dla siebie i dla rodzin swoich znaleść chleb i przytułek, opuszczają kraj ojczysty z sercem rozdartem i bolejącem. Przeciwnie Wy, o Salezyanie, wzbudzacie w nas zazdrość, świętą zawiść! Pobudzeni miłością Chrystusa, ożywieni zapałem zbawiania dusz, jedziecie z własnej woli, jedziecie z weselem w sercu i wewnętrznem szczęściem.

„Biedni nasi wychodźcy! ludom, wśród których zagoszczą, samą swoją obecnością mówić będą o nędzy i ubóstwie panującem w naszej ojczyźnie: i sądząc po ludzku, wobec obcych niewiele nam przyniosą zaszczytu. Wy przeciwnie jedziecie, ażeby głosić wszystkim, że w Kościele katolickim jeszcze żywie Ojciec św., ojciec wszystkich prawowiernych, będziecie świadczyć jawnie, że w ojczyźnie naszej żywie jeszcze wiara, będziecie głosić, że żyją jeszcze wśród nas dusze prawdziwie bohaterskie, które wszystko poświęcają, ażeby zanieść narodom światło Ewangelii Jezusa Chrystusa. Przez Was brzmieć będzie chwałą w owych odległych krainach imię Rzymu, imię ojczyzny naszej. Głosząc wiarę Chrystusa przywrócicie nam wobec obcych narodów dobrą sławę, którą tylu współrodaków niestety nam ukróciło.

„Biedni nasi wychodźcy! opuszczają piękny nasz kraj po to, aby gonić za szczęściem, zwykle ułudnem! Pomiędzy nimi iluż jest takich, którzy straciwszy lata całe w próżnej, choć ciężkiej pracy, wracają napowrót do ojczyzny, uboższi niźli byli, zanim się udali na obczyznę. Wy przeciwnie, o misyonarze, wyjeżdżacie pewni, że spełnicie zadanie, jakieście sobie stawili, że wykonacie swoje posłannictwo! Jakaż praca Was czeka, ile trudów i znojów musicie podjąć, ile przeszkód macie do zwalczenia, jakie niebezpieczeństwa do pokonania! Lecz święte jest Wasze powołanie i wzniosły Wasz cel; możecie być pewni, że pozyskacie palmę apostolstwa.

„Jedźcie przetoż, o drodzy misyonarze, jedźcie czcigodne misyonarki! Smutno Wam

— to pewna — rozstać się z ukochanymi Przełożonymi, z Waszymi współbraćmi i drogimi Pomocnikami, lecz ta rozłąka Wasza przyniesie pociechę Kościołowi w czasach tyle smutnych. Jedźcie więc! Niech wiatry morskie będą Wam pomyślne, niech Anioł Pański Was prowadzi i Wam towarzyszy!

„Jedźcie! Lecz pamiętajcie o nas, pamiętajcie o Przełożonym Waszym, księdzu Rua, o Zgromadzeniu salezyańskiem, którego członkami jesteście, o ojczyźnie Waszej, której synami ani na chwilę być nie przestaniecie. O drodzy misyonarze, przezacne misyonarki! ofiarujcie Wasze poświęcenie się, Wasze trudy, Wasze prace Bogu Najwyższemu za ojczyznę naszą, na zadośćuczynienie za tyle zniewag, jakich doznaje w Najśw. Sakramencie miłości, na wynagrodzenie za tyle złego, co pomiędzy nami się dzieje. Kiedy staniecie wśród dzikich plemion, gdy przez Was i nauki Wasze nawrócone żądać będą od Was chrztu św., mówcie wtedy: O Jezu dobry, spraw to miłościwie, aby błądzącym naszym współrodakom otworzyły się oczy, tak jak oto się otwierają oczy tym poganom, tym szczepom dzikim, ażeby poznali złe, jakiego się dopuszczają, ażeby zeszli z manowców, po których błądzą, i powrócili na drogę prawą.

„Pamiętajcie o nas i módlcie się za nami! Serce nasze towarzyszyć Wam będzie w ciągu Waszej podróży i pójdzie za Wami na pole prac i trudów Waszych. Bóg Wszechmocny niech Was pociesza, niech Wam dopomaga i błogosławi, jak z całego serca Was błogosławi Wasz Arcypasterz. Obfity niech będzie plon Waszych znojów, jak obfitem jest żniwo, które Was na polu pracy misyonarskiej czeka. — O Panie, spraw, ażeby ci Twoi synowie i te Twoje córki, którzy całą duszą się dla Ciebie poświęcają, poznali i pamiętali zawsze, jak słodko i lekko jest Tobie służyć!“

Oto co mniej więcej mówił bez przygotowania się X. Arcybiskup. Ukończywszy przemowę zeszedł ze stopni ołtarza, ażeby przycisnąć do piersi każdego z misyonarzy, którzy następnie podeszli kolejno do księdza Rua i innych Przełożonych salezyańskich, ażeby od nich otrzymać ostatnie pożegnanie i rady ostatnie.

Rozczulający widok przedstawiało zachowanie się Turyńczyków, kiedyśmy po skończonych ceremoniach opuszczali presbyteryum, idąc w kierunku głównych drzwi kościoła. Zebrany tłum, chcąc się pożegnać z nami, tamował nam zupełnie przejście, a pomimo że stawialiśmy silny opór, każdy chciał się nas dotknąć. Bliżej się znajdujący wydzierali sobie krzyż, jaki każdy z nas miał zawieszony na piersiach, przyciskając go do ust; dalej stojący szarpali za ręce, całując je niemiłosiernie; inni znowu ciągnęli płaszcz na wszystkie strony. Większa część wiernych, pomiędzy nimi także dużo mężczyzn — rzecz niezwykła we Włoszech — zalewając się łzami, wzruszona, polecała się głośno naszym modlitwom. W tem położeniu i nam mimowoli oczy zachodziły łzami.

Po wielkich wysiłkach dostaliśmy się nareszcie do wrót kościoła, wyszliśmy na plac, wsiedliśmy do czekających na nas pojazdów i udaliśmy się do drugiego domu salezyańskiego w Turynie, kolegium św. Jana Ewangelisty (przy *corso Vittorio Emanuele*), położonego w pobliżu głównego dworca kolei żelaznej. Tam przybyło za mną liczne grono kochanych rodaków (studentów ze szkoły przygotowawczej w Seminaryum valsalickiem), by swą obecnością uprzyjemnić mi ostatnie chwile przed wyjazdem do Genui, za co teraz jeszcze jestem im wdzięczny i składam wszystkim serdeczne *Bóg zapłać*.

Jak drogą mi była ich obecność w owej chwili, pojąć tylko może ten, kto w podobnej jak ja wówczas znajdował się okoliczności, że mianowicie widząc, jak jego współtowarzysze podróży żegnali się z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi, — on jeden, dla niezmiernej przestrzeni, jaka go oddzielała od swoich, nie mógł ich mieć przy sobie ani od nich usłyszeć w ojczystej mowie ostatniego: *żegnam Cię! — Bóg niech będzie z Tobą!*

O moi kochani współbracia rodacy! w braku drogich sercu memu osób, które zostawiłem w Ojczyźnie, jak błogie wrażenie na mnie czyniły Wasze słowa! Słyszę je jeszcze dziś: *żegnamy Cię! do widzenia na misyach! pójdziemy wszyscy w Twe ślady! niech żyje Polska!* O tak, do widzenia! najchętniej na misyach, potem zaś w niebie.

O godzinie siódmej wieczorem znajdowaliśmy się już we wagonie. Dwadzieścia minut później lokomotywa silnem gwizdnięciem oznajmiła nam, że opuszczamy Turyn.

Przeniosłem się raz jeszcze myślą na grób X. Bosko, prosząc go o błogosławieństwo i pomoc do zwalczenia przeciwności, jakie mogą mnie spotkać; westchnąłem raz jeszcze do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, by wzięła mnie w Swą świętą macierzyńską Opiekę, a myśl, że tylu rodaków we Valsalice (jak mi to przyrzekli) będzie się modlić o pomyślną dla mnie podróż, dodawała mi otuchy i męstwa.

*

W kilka chwil potem dość szybkim biegiem pociągu zdążaliśmy do Genui, skąd statkiem była nam dalsza przeznaczona podróż. W Genui stanęliśmy o godzinie 11 ½ w nocy. Na stacyi czekało już na nas kilku braci z naszego kolegium ze San Pier d'Arena, by nam pomódz przenieść ręczne kufereczki, w które każdy z nas był zaopatrzony.

Stanąwszy w kolegium blisko o północy, znużeni długą podróżą, a więcej jeszcze zmęczeni tylu i tak różnorodnemi wrażeniami, chętnie przyjęliśmy wiadomość, że ten lub ów pokoik stoi gotowy do naszego rozporządzenia i po krótkiej modlitwie udaliśmy się na spoczynek.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



NABOŻEŃSTWO

DO

Najświętszej Maryi Panny

pod wezwaniem

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

(*Dokończenie*).

5. Nabożeństwo do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych w Monachium i Turynie. — Kościół Salezyański Maria SS. Ausiliatrice (Matki Boskiej Wspomożenia) w Turynie.

Podczas gdy w r. 1683 wojska chrześcijańskie pod wodzą Sobieskiego potykały się z Turkami pod *Wiedniem*, pewien kapucyn, który w tym czasie z wielką żarliwością prawił kazania w kościele św. Piotra w *Monachium* w Bawaryi, kończył je zazwyczaj, zachęcając goracemi słowami wiernych, by się oddali w szczególną opiekę **P. Maryi Wspomożycielce.** Po odniesionem zwycięstwie, nabożeństwo do Matki Boskiej pod temże wezwaniem tak się rozpowszechniło, że niebawem przyszło w Monachium do zawiązania *bractwa* pod wezwaniem **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.** Elektor bawarski, Maxymilian Emanuel, który w walnej bitwie pod *Wiedniem* dowodził był wojskiem bawarskiem, udał się do Ojca św., Inocentego XI, z prośbą o zatwierdzenie i uposażenie świętymi odpustami tego nowopowstałego bractwa. Ojciec św. chętnie do prośby się przychylił i udzielił tak zatwierdzenia jak równie odpowiednich odpustów bullą, wydaną dnia 18 sierpnia 1684 r.

Z *Monachium* i Bawaryi bractwo to rozkrzewiło się niebawem także w ościennych państwach i krajach. Pomiędzy wszystkiemi jednakże miastami, które szczególnem odznaczały się nabożeństwem do Maryi *Wspomożenia Wiernych*, trzeba na pierwszem miejscu położyć **Turyn.** Kardynał Maurycy, książę sabaudzki, gorliwie nabożeństwo to rozszerzał w stolicy Piemontu już w początku 18go wieku. Pomiędzy innemi kazał wznieść w kościele św. Franciszka a Paulo kaplicę z ołtarzem i pięknym marmurowym posągiem Maryi Wspomożycielki.

Turyńczycy, przekonawszy się po niezliczone razy, że uciekanie się do Najśw. Panny jako **Wspomożycielki Wiernych** jest środkiem niechybnym dla otrzymania wszelkich łask od Pana Boga, zaczęli gromadnie zapisywać się do wyż wymienionego arcybractwa monachijskiego, które też w niewiele lat po swem zawiązaniu tysiącami liczyło członków różnego wieku i stanu po całej Europie. Gdy zaś w samymże **Turynie** liczba członków tego bractwa niepomiernie wzrosła, ustanowiono pod koniec zeszłego wieku przy kościele św. Franciszka a Paulo osobne bractwo pod takiemże wezwaniem, zatwierdzone przez Papieża Piusa VI reskryptem z dnia 9 lutego 1798 r.

Przez cały ciąg bieżącego stulecia z rozwojem miasta wzrastało i rozwijało się, rzec można, również nabożeństwo do **Matki Boskiej Wspomożycielki**, aż około roku 1864 powziął ks. Bosko zamiar wystawienia świątyni pod temże wezwaniem na *Valdocco*, jednej z najwięcej zaludnionych dzielnic Turynu, siedzibie założonego przez siebie **Oratoryum.** Dostarczenie środków niezbędnych, za pomocą których miano dzieło do skutku przyprowadzić, poruczył z całą ufnością Tej, którą Kościół św. słusznie nazywa: *Virgo potens* (Panną możną).

Papież Pius IX zaś, który nigdy nie zaniechał popierać, co tylko wyjść mogło na większą chwałę Bożą, dowiedziawszy się, jak bardzo potrzebnym jest kościół na wymienionem przedmieściu, nadesłał jako pierwszą ofiarę na jego budowę sumę 500 franków, pochwalając jednocześnie wezwanie **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych,** pod jakiem miał być wystawionym. Wraz z miłościwą ofiarą przesłał zarazem następujące słowa: »*Niewielka moja ofiara niech wzbudzi możniejszych i hojniejszych dobrodziejów, którzy oby się przyczynili do rozszerzenia czci Najświętszej Dziewicy na ziemi, a tak coraz więcej pomnażali zastęp tych, którzy kiedyś chwalebnem gronem otaczać Ją będą w królestwie niebieskiem.*«

Pokrzepiony błogosławieństwem Ojca świętego wziął się X. Bosko natychmiast, mimo braku funduszów, do dzieła; za pieniądze, jakie posiadał wraz z datkiem Piusa IX, zakupił grunt pod budowę tuż obok *Oratoryum* i kazał zakładać fundamenta. Architekt Spezzia zrobił plan kościoła w kształcie łacińskiego krzyża na przestrzeni 1200 metrów kwadratowych.

Położenie kamienia węgielnego odbyło się uroczyście dnia 27 kwietnia 1865 r. Gdy rozpoczęto roboty, X. Bosko posiadał w kasie zaledwie 40 *centesimi* = 32 fenygów niem. lub 16 centów austr.). Liczył na rozmaite obietnice jużto Rady

miejskiej, jużto osób prywatnych, tych wszakże pod różnymi pozorami z razu nie dotrzymano. Kiedy jednakże zabrakło pomocy ludzkiej, wtenczas opieka Królowej niebieskiej objawiła się w sposób uderzający, aby widocznem się stało, że pragnęła nietylko idealnej świątyni w sercach ludzkich, lecz i rzeczywistego budynku, w którymby Jej Boski Syn był czczony za Jej pośrednictwem.

Nie wstrzymany żadnemi trudnościami, X. Bosko śmiało wydał polecenie wzięcia się do roboty i kazał kopać fundamenta. Po dwóch tygodniach wytężonej pracy należało się robotnikom 1000 franków. Ci poczciwi ludzie nie mogli dłużej czekać na pieniądze i potrzeba było koniecznie spłacić ich za wszystkie dni pracy. W tym kłopocie X. Bosko przypomniał sobie pewną chorą, która dla uproszenia uzdrowienia zaczęła była nowennę przed kilkoma dniami i obiecała ofiarę. Była to osoba zamożna, którą X. Bosko kilka razy już był odwiedził, spełniając obowiązek swego świętego powołania. Ciężko chora od trzech miesięcy nie wstawała z łóżka: trawiła ją bezustanna gorączka, połączona z kaszlem i zupełnem sił wycieńczeniem. Ostatnim razem, gdy ją X. Bosko odwiedzał, rzekła do niego:

— Dla otrzymania chociaż tylko odrobiny zdrowia gotowa jestem odmawiać wszelkie modlitwy, jakieby mi naznaczono, i złożyć jakąkolwiek ofiarę. Byłoby to już wielką łaską dla mnie, gdybym mogła wstać z łóżka i przejść się parę kroków po pokoju.

— Czy Pani uczyni, co jej wskażę? zapytał X. Bosko.

— Niezawodnie uczynię.

— A więc zacznij Pani natychmiast nowennę do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

— A jakże to?

— Przez 9 dni odmówi Pani codziennie: 3 *Ojcze nasz*, 3 *Zdrowaś*, 3 *Chwała Ojcu* i *Witaj królowo*.

— Dobrze, a jakiż dobry uczynek mam do tego dołączyć?

— Jeżeli Pani zechce, a polepszy jej się, to niech da ofiarę na kościół Maryi Wspomożycielki, który się obecnie buduje na Valdocco.

— Bardzo chętnie, skoro tylko będę mogła wstać z łóżka i przejść się po pokoju.

Ta właśnie obietnica była jedynym funduszem, na który X. Bosko mógł liczyć w owej chwili. Ponieważ to był dzień dziewiąty od zaczęcia nowenny, zatem poszedł do chorej dowiedzieć się o wyniku. Służąca otwierając drzwi i widząc wchodzącego X. Bosko zawołała:

— Pani już wyzdrowiała! dwa razy już była w kościele podziękować Panu Bogu.

Gdy wszedł do pokoju zastał panią domu rzeczywiście zdrową.



KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ WSPOMOŻENIA
W TURYNIE.

— Już jestem zdrowa, mój ojcze, wychodziłam już dziękować Najświętszej Pannie. Przyjm oto ofiarę moją na kościół, który budujesz. Jest ona pierwszą, ale pewno nie będzie ostatnią.

I wręczyła księdzu Bosko mały pakiecik. Gdy tenże powrócił do domu i otworzył zwitek, znalazł w nim 50 *marengów* (czyli napoleondorów = 1000 franków w złocie), właśnie sumę, której tego dnia potrzebował, by módz wypłacić należytość robotnikom. Te tysiąc franków spadły mu, rzec można, z ręki Najśw. Panny Wspomożycielki. Chociaż X. Bosko unikał wspomnienia o tem zdarzeniu, to jednak rozeszło się ono wkrótce jakby iskrą elektryczną po całem mieście i spowodowało natychmiast wielkie zbiegowisko osób, przybywających do księdza Bosko z prośbą o wstawienie się za niemi do Najśw. Panny w różnych dolegliwościach, pragnących odprawić nowennę i obiecujących ofiarę na Jej kościół, skoro tylko będą wysłuchane. X. Bosko zanosił modlitwy swe za niemi z wielkim skutkiem, a ci, którzy otrzymywali łaski cudowne, obfite składali za to ofiary, a liczba ich niesłychanie rosła.

Widocznie Najświętsza Panna, wysłuchując modlitwy pobożnego kapłana, chciała tem samem okazać swoje i Syna swojego upodobanie w tem dziele salezyańskiem, skoro raczyła się niem zaopiekować i dostarczać środków pieniężnych, potrzebnych do jego rozwinięcia i utrzymania się, na co żadnego prawie źródła nie było.

Któżby wogóle wyliczył wszystkie łaski cudowne, które X. Bosko w ten sposób dla potrzebu-

jących ich u Matki Najświętszej wyjednał, któż te niezliczone uzdrowienia i łaski różnego rodzaju, materyalne i duchowe, które teraz tak obficie zaczęły spływać? Niedługo trwało a cały Turyn, potem cały Piemont, za nim Włochy, Francya, niebawem wszystkie kraje świata katolickiego głosiły chwałę **Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki**. Nigdzie bowiem napróżno nie wzywano Jej pomocy.

Tymczasem ofiary na budowę kościoła napływały w wielkiej liczbie, wystarczając na razie na wszelkie potrzeby. W chwili jednak, gdy roboty były prowadzone z największym pospiechem, dary zaczęły się zmniejszać. Ale oto zjawia się cholera: umysły zostały jużto zaniepokojone obawą, jużto wzruszone uczuciem wdzięczności za ocalenie od zarazy, i znów dary gromadzą się obfitsze niż kiedykolwiek. Byli i tacy, którzy powzięli myśl zjednania sobie pomocy **Najświętszej Panny Wspomożycielki** i uproszenia za Jej przyczyną błogosławieństwa Bożego, bądź w handlu, bądź w gospodarstwie rolnem, ślubując na budowę Jej nowej świątyni dziesięcinę z czystego zysku lub ze zbiorów. Ci nie mieli powodu skarżyć się na ten rodzaj kontraktu, zawartego z przemożną Opiekunką w niebie, gdyż otrzymany rezultat przewyższał wszelkie ich nadzieje.

I czy uwierzy kto temu? Kościół **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych** w Turynie został wybudowany bez uciekania się do kwesty. Ofiary napływały zawsze, i to w porę. Ogólny wydatek przenosił *milion* franków; otóż rejestr ściśle prowadzony dowodzi, że z tej ogromnej kwoty 850,000 franków zostało złożonych w ofierze od osób, które otrzymały szczególne łaski i które w ten sposób okazywały swoją wdzięczność. Można przeto powiedzieć, że każdy kamień tego gmachu jest dowodem dobroci i mocy **Panny Maryi Wspomożenia**.

Długo zaś byłoby wyliczać wszystkie dary dziękczynne, czynione kościołowi z kielichów, cyboriów, monstrancyi, lamp, drogocennych ozdób i t. p.

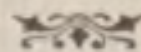
Nowa świątynia, rozpoczęta w r. 1865, skończona została w przeciągu lat trzech, tak że można było ją poświęcić 9 czerwca 1868. Uroczystości, które się odbywały z tej przyczyny, trwały dni ośm i ściągnęły ogromne tłumy ludu. Poświęcenia kościoła dokonał Arcybiskup turyński, X. Aleksander Riccardi.

Nie podajemy na tem miejscu szczegółowego opisu tego kościoła, zwrócimy tylko uwagę na to, że choć nie tak dawno otwarty dopiero, ma ściany pokryte ogromną ilością *wotów* wszelkiego rodzaju; są one niezbitem świadectwem licznych łask otrzymanych dzięki nabożeństwu do **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych**.

O POTRZEBACH DUCHOWYCH

wychodźców polskich,

ROZRZUCONYCH W RÓŻNYCH CZĘŚCIACH ŚWIATA.



REFERAT

X. M. Czermińskiego, T. J.*)



Wyprawa jednego z profesorów uniwersytetu lwowskiego do północnej Ameryki z inicyatywy Wydziału krajowego i utworzenia przezeń komitetu, mającego na celu zajęcie się wychodźcami polskimi w **Stanach Zjednoczo-**

*) Referat ten byłego redaktora «*Missyi katolickich*», czytany (podobnie jak poprzedni) dnia 6 lipca 1893 r. na wiecu katolickim w *Krakowie*, którego przedruk z księgi pamiątkowej wiecu zawdzięczamy uprzejmości X. Prałata Dr. Chotkowskiego, ma dla Salezyanów polskich szczególne, prawie chcielibyśmy powiedzieć: epokowe znaczenie. Otworzył im bowiem oczy, jakie jest właściwe ich powołanie.

W kraju skarżą się niektórzy na mały pożytek, jaki rzekomo wogóle przynosi odbywanie wieców katolickich.

O ile podobne zapatrywanie jest słuszne — o tem nie nam sądzić, żyjącym na obczyźnie.

To pewna, że na nas tu w Turynie rozprawy wiecu katolickiego krakowskiego, choć żaden z naszego grona w nim osobiście nie uczestniczył, same zaś dyskusye tylko poznaliśmy w streszczeniu i o ile ukazały się w druku, wielkie sprawiły wrażenie i nieobliczoną przyniosły nam korzyść duchową. Kiedyśmy się w latach 1890 — 1893 r. zebrali w kolegium *Valsalice* w liczbie stupięćdziesięciu i zaczęli nieraz zastanawiać nad tem (jak się również zastanawiali samiż nasi Przełożeni), co właściwie spowodowało tak liczne powołania z Polski do Zgromadzenia salezyańskiego, — gdy pewnego dnia zimą 1894 r. zabraliśmy się do czytania księgi pamiątkowej i odczytaliśmy wspólnie niniejszy referat, jak gdyby pod natchnieniem z góry spojrzeliśmy po sobie, a gdy jeden z nas z uniesieniem zawołał: «*PanBóg powołał nas tu na to, ażebyśmy się zajęli braćmi naszymi, opuszczonymi na obczyźnie !*» to okrzyk ten odbił się głośnem echem w sercach naszych i stał się wspólnem hasłom na całe nasze życie.

Od owego pamiętnego roku *grono valsalickie* młodzieży polskiej salezyańskiej wydało dotąd 3 kapłanów, 100 kleryków i 20 koadjutorów, nie licząc aspirantów.

Kilkoro z nich (może najgorliwszych i najlepszych ze wszystkich) Pan Bóg powołał do Siebie, kilku się sprzeniewierzyło, reszta jednakże (w Zgromadzeniu salezyańskiem daje się wolność każdemu zakonnikowi zgłoszenia się na misye i wysyła się na nie tylko takich, co sami o to proszą) pozostała wierną swemu hasłu, a Przełożeni salezyańscy w tem ją popierają. Kilku zaczęło już pracować na misyach: inni — ukończywszy nauki — niezawodnie pójdą w ich ślady.

Braciom w Lombriasco, których grono jest równie liczne, jak było nasze we *Valsalice*, a zapał do sprawy Bożej niemniejszy, polecamy ten referat usilnie. *Vivant sequentes!*

nych są objawem, iż od pewnego czasu społeczeństwo nasze zaczyna się interesować trochę więcej naszymi emigrantami i pragnie w miarę możności iść im z pomocą. Sądzę więc, że właściwem będzie na tym wiecu skreślić, choć w najciaśniejszych rozmiarach, obraz potrzeb duchowych tych rozbitków narodu naszego, po różnych częściach świata rozproszonych, ponieważ te duchowe potrzeby nietylko są najważniejsze same dla siebie, ale też od nich bardzo często byt materyalny zależy.

Zapewne, że nie jest w naszej mocy zaradzić *wszystkiemu* złemu, jakie zdarza się widzieć wśród Polaków na emigracyi, znajomość jednak tego może mieć podwójną korzyść: zachęcić do pomocy tam, gdzie jest możliwa; przestrzedz przed niebezpieczeństwem tych, którzy iść muszą na obczyznę dla szukania chleba.

Ponieważ kto inny poruszy sprawę ekonomiczną naszych wychodźców, ograniczam się tylko wyłącznie do przedstawienia w głównych zarysach potrzeb duchowych, które większe lub mniejsze się okażą w miarę stosunków trudniejszych lub łatwiejszych, w jakich się nasi emigranci znajdują.

Na wstępie wypada mi zaznaczyć, że ludność, emigrująca z dzielnic polskich, jest to po największej części młodzież płci obojga z warstw najbiedniejszych naszego społeczeństwa, tem samem mniej wykształcona, niedoświadczona, dająca się łatwo obałamucić, wyzyskać i uledz złym wpływom, dla których brak znajomości obcych języków przyczynia się do tego, że mniejsza lub większa odległość od ziemi ojczystej prawie nie stanowi różnicy, zawsze będzie wielką a komunikacya trudną.

Rozpocznijmy od najbliższych nam **Niemiec.** Dwie kategorye polskich wychodźców możnaby tu rozróżnić. Najwięcej znajduje się robotników w prowincyach: *Saskiej*, *Heskiej*, *Westfalii*, *Hanowerze* i *Brandenburgii*. W roku 1892 podług najbardziej prawdopodobnych sprawozdań, liczba ich przechodziła 200, 000. W jednej okolicy miasta *Bochum* w Westfalii przy kopalniach węgla, lejarniach żelaza i innych fabrykach przebywa stale przeszło 25,000 Polaków; w *Berlinie*, według zdania urzędników statystycznego bióra, jest ich 80, 000; bardzo wielka liczba jest ich w *Saskiej prowincyi*, w miejscowościach: *Halli*, *Merseburgu*, *Eisleben*, *Querfurcie*, *Mansfeldzie* i wielu tamtejszych okolicznych wioskach przy uprawie buraków i cukrowniach. W większych grupach znajdują się: w *Hamburgu*, *Poczdamie*, *Charlottenburgu*, *Hadmersleben*, gdzie prócz fabryk pracują przy budowie kanałów. Są to kolonie po 1000 i więcej osób, czasem tylko po kilkaset i mniej, stosownie do rodzaju pracy.

Z wyjątkiem *Bochum*, w którem przebywa stale dotychczas jeden kapłan polski, we wszystkich innych miejscowościach ani jednego niema stałego kapłana polskiego, któryby miał pieczę nad naszymi rodakami; na palcach można policzyć tych kapłanów niemieckich, którzy trochę umieją po polsku, i zresztą niechętnie zajmują się „*cudzoziemcami*”, będąc sami obarczeni pracą wśród swych parafian niemieckiej narodowości.

Wobec takich okoliczności przystępować do Sakramentów świętych, chociażby tylko w czasie wielkanocnym, jest niepodobieństwem; gdy się zjawi jaki misyonarz —, jest połączone z wielkiemi trudnościami. Tak n. p. gdy w r. 1891 przybył polski misyonarz do *Hanowera*, aby słuchać spowiedzi tamtejszych polskich robotników w fabryce cementu, chlebodawcy zabronili im tego pod karą 5 marek, chociaż w umowie mieli to dozwolone.

Pomimo tego nasi robotnicy niesłuszną karę zapłacili i poszli do spowiedzi. Czy wielu takich będzie? Czy przynajmniej mogą wysłuchać Mszy św. w niedzielę lub dni świąteczne? Często tej pociechy duchowej mieć nie mogą. Pomijając okoliczność, że w wielu miejscach niema w bliskości kościoła katolickiego, nasi Polacy często są zmuszani przez swoich chlebodawców lub dozorców do pracy w niedziele i święta uroczyste pod karą utraty służby, tygodniowego zarobku; w kilku miejscach kijami i rózgami zmuszono dziewczęta do pracy, gdy w niedzielę chciały iść do kościoła.

Chociaż nasz lud polski do wiary św. jest przywiązany, to jednak zważywszy młodość wychodźców, zły przykład innowierców, brak dozoru rodzicielskiego, a przedewszystkiem moralnej podpory, jaką tylko kościół dać może, stan moralny coraz gorszym się staje, coraz częstsze małżeństwa mięszane, lub apostazya; niejednokrotnie zbrodnie . . . . . Prawda, że czasami kapłani — z *Krakowa*, robią wycieczki misyjne do tych biednych opuszczonych Polaków, lecz cóż znaczy jeden lub dwa kapłanów, na taką masę ludzi rozproszonych po całych Niemcach? Są wprawdzie bardzo pocieszające objawy wśród Polaków w Niemczech rozproszonych, lecz tych kilka faktów powyżej przytoczonych okazuje,



KOLEBKA SALEZYANÓW POLSKICH

Seminaryum dla misyi zagranicznych w Valsalice pod Turynem.

1. Układ zwłok w trumnie. 2. Napis na grobowcu. 3. Kaplica, mieszcząca doczesne szczątki X. Jana Bosko.

że dużo jest złego, któremu koniecznie zaradziéby należało i ta pomoc, jaką mają od nas dotychczas, zupełnie jest niewystarczającą.

W podobnych mniej więcej warunkach znajdują się Polacy w **Anglii** i **Szkocyi.** Liczba ich tamże zajętych po fabrykach jest znacznie mniejszą, lecz też i większa nędza materyalna i moralna. W znacznej części są to Polacy i Litwini, którym zabrakło funduszów na podróż do Ameryki, na powrót do kraju, podobnież z dodatkiem często trudności paszportowych. Znajdują się tam kobiety i dzieci, których mężowie lub ojcowie gdzieś przepadli, szukając zarobku w Ameryce, a te nieszczęśliwe istoty w poszukiwaniach za swoimi najbliższymi na wpół drogi musiały się zatrzymać na obczyźnie wśród nędzy. Od osób przebywających stale w **Anglii** udało nam się otrzymać ledwie w przybliżeniu cyfrę Polaków i Litwinów w państwie Wielkiej Brytanii. Rozsiani w bardzo licznych miejscowościach nasi rodacy po fabrykach w liczbie 70, 50, czasem tylko 20 lub 10 osób, obecnie prawie zupełnie są opuszczeni moralnie. Przed kilkunastu laty przebywał stale w *Londynie* jeden z polskich kapłanów, który przynajmniej w tem mieście niósł pomoc najliczniejszej stosunkowo kolonii polskiej, gdyż liczącej mniejwięcej do 1000 osób. W innych miejscowościach 2 do 3000 Polaków zawsze było opuszczonych i lata mijały, a nie widzieli kapłana polskiego. W ostatnich kilku latach zajął się naszymi rodakami O. Józef von LASSBERG, Jezuita z *Ditton — Hall*, wioski położonej w północnem hrabstwie Lancashire. Obok Ditton — Hall leży *Widues*, gdzie pracuje pewna liczba Polaków; tutaj to poznał po raz pierwszy O. LASSBERG biedy i potrzeby naszych wychodźców, a pragnąc im wedle sił dopomódz, wziął się z energią do nauki polskiego i litewskiego języka. O ile mu czas pozwala przy innych zajęciach w zakonie, robi on wycieczki już od roku 1887 do rozmaitych miast i miasteczek, gdzie są Polacy; urządza tamże misye, słucha spowiedzi; a było w pierwszych trzech latach około czterdzieści takich miejscowości. Do niektórych kolonii częściej przybywa. Ileż jeszcze stacyi polskich, których misyonarz nie mógł jeszcze dla braku czasu odwiedzić! Tak pisze nam: „*Dotąd nie udało mi się jeszcze nawiedzić Polaków pracujących w miastach*: Leeds, Bristol, Sheffield *i w południowych stronach księstwa* Wales, *gdzie, jak mi mówiono, znajdują się w dość znacznej liczbie. Natomiast bardzo częstym jestem gościem w* Widues, — *gdzie wielkie fabryki chemiczne zatrudniają* 70 — 100 *Polaków i Litwinów.*”

»*Dłuższy czas zajmowałem się Polakami*, pisze tenże misyonarz, *gdy dowiedziałem się, że stosunkowo wiele przebywa ich w* Londynie. *Niedawno powstała między Tamizą a olbrzymiemi* dokami „*Alberta*” *nowa dzielnica*, Silvertown, *i mieści w sobie formalną litewską kolonię. Na szczęście pracuje tu od paru lat bardzo gorliwy katolicki misyonarz*, X. *Tymoteusz* RING, *Irlandczyk. Na jego wezwanie przybyłem we wrześniu* 1889 *r. do* Silvertown *i miałem misyę. Po raz pierwszy to od czasu, jak Litwini na tym krańcu Londynu rozbili swe wędrowne namioty, posłyszeli księdza przemawiającego w ojczystym swym języku; nie dziw, że niejedno tu było i niejedno jest jeszcze do zrobienia. Do marca* 1886 *r. udało mi się dwa razy wpaść na jeden dzień do właściwej* City of London; *odwiedziłem kilka polskich i litewskich rodzin. A przecież jeśli gdzie to* w Londynie, *a właściwie* w Whitchapel, *misyę koniecznie i najprędzej należałoby odprawić, bo tu Polaków najwięcej, — liczba ich tamże, nie licząc dzieci, dojdzie z pewnością do tysiąca osób.*”

Pomimo zabiegów O. LASSBERGA i ogłoszeń, zaledwie zebrało się na nabożeństwa 150 — 200 Polaków i Litwinów; reszta ginie marnie bez Boga!

W czerwcu r. 1889 po raz pierwszy wybrał się tenże misyonarz do Polaków w *Szkocyi*. Pierwszą stacyą było *Lieth* koło *Edynburga*. Znalazł tam w fabrykach cukru 70 Polaków, przeważnie z Galicyi, kilku Litwinów i Słowaków. Oto co o nich pisze O. Lassberg: „*Mieszkają razem w jednym z owych olbrzymich gmachów, zbudowanych około większych fabryk wyłącznie dla robotników; w jednym, co prawda dość wielkim pokoju, mieszka* 10 *robotników, w innych* 15, *jeszcze w innych aż do* 20. *Moralność i wiara tych biedaków, obracających się wyłącznie między ludźmi nieraz bardzo zepsutymi, a pozbawionych wszelkiej pomocy duchownej, wystawioną jest na największe niebezpieczeństwa.*”

Czy mniejsze potrzeby duchowe są naszych rodaków w różnych stronach **Austro-Węgier,** a zwłaszcza w obydwóch stolicach: *Wiedniu* i *Budapeszcie*? Zapewne, że klasa wykształceńsza, znająca język państwowy, gdy chce, może sobie dać radę, lecz na kilka lub kilkadziesiąt tysięcy Polaków zamieszkałych w mieście, znajdzie się też i służba i biedni wyrobnicy, którym z trudnością przyjdzie rozmówić się w obcym języku, a do-

świadczenie nas nauczyło, że zaniedbanie się w obowiązkach chrześcijanina — katolika, a wreszcie apostazya, źródło swe miało niejednokrotnie między tą klasą wskutek braku kapłanów, przed którymi w ojczystej mowie mogliby swe dusze otworzyć. To też fakt zniesienia polskiej kapelanii w kościele św. Ruprechta w *Wiedniu*, i brak kapłana polskiego dla 3000 ludności polskiej w *Budapeszcie* nie powinien ujść naszej uwagi i czynnego zajęcia się naglącą potrzebą zaradzenia temu niedostatkowi.

W innych nieco warunkach znajdują się nasi rodacy rozproszeni na półwyspie Bałkańskim. Wiemy, że garstka ich przebywa w *Konstantynopolu*, *Filipopolu*, *Belgradzie*, *Zofii*, *Jassach*, *Bukareszcie*. W tem ostatniem mieście ma być ich liczba bardzo znaczną. Ktoś mi stamtąd donosił, że 6,000, ale ani szkoły polskiej nie mają, ani kapłana znającego język polski. Jeden z tamtejszych kapłanów błagał mnie, bym szedł z pomocą tamtejszym Polakom, którzy swe dzieci posyłają do protestanckiej szkoły i łatwo decydują się w tej religii swe dzieci wychowywać, jakiej w szkole nauczają. Mówią: »*mają być bez religii, lepiej, że będą protestantami*.«

Indyferentyzm religijny u starszych, pochodzący właśnie z braku znajomości katechizmowych, grozi wielkiem niebezpieczeństwem utraty wiary dla Polaków na tym półwyspie. Tworzą się wprawdzie tam kółka polskie z czytelniami, lecz sama literatura nie da pokarmu dla duszy i nie uchroni od apostazyi a z nią i od wynarodowienia; tem to łatwiej może nastąpić wobec agglomeratu rozmaitych narodowości i wierzeń, które utrudniają działalność misyonarza, nawet gdyby jaki pragnął ich nawiedzić.

Na szczególniejszą zasługuje uwagę kolonia polska, obecnie zupełnie opuszczona duchowo, *Adamówka*, położona już w granicach tureckiego państwa w **Małej Azyi**, lecz zaledwie parę mil za *Konstantynopolem*. Założył ją w r. 1855 książę Adam Czartoryski przez zakupienie gruntów (10,000 dylomów) w celu osiedlenia tych Polaków, którzy w czasie kampanii krymskiej dostali się do niewoli armii sprzymierzonej. Po roku 1863 przybyło także kilku Polaków — ostatni z nich w roku 1880, — wszystkich jest tam około 300 osób; pochodzą z zaboru rosyjskiego.

Pan S. Morawski, prezes towarzystwa polskiego w *Konstantynopolu* donosił, że o ile stan kolonii pod względem dobrobytu nic nie pozostawia do życzenia, o tyle inaczej dzieje się pod względem moralnym. »*Dwu głównych brak do tego warunków t. j. księdza i szkoły. W początkach założenia kolonii, emigranci będąc pod czujną opieką księcia Adama Czartoryskiego, wystawili kościółek, który niestety od dwu lat jest niemożebnym do użycia. Pobudowanym był z drzewa i kryty był gontą. Teraz dach się zapadł, a gonty pogniły. Oprócz kościoła znajduje się tam plebania murowana, w której tymczasowo urządzono kaplicę, gdzie się bardzo rzadko odbywa nabożeństwo, a właściwie wtedy tylko, gdy się jednemu z księży konstantynopolitańskich podoba tę kolonię nawiedzić.*

Ze szkołą dzieje się też nie lepiej. Obecnie ma kolonia 30 dzieci potrzebujących nauki, a według statutów nie wolno dzieci oddawać do szkół miejskich (cudzoziemskich) dopóki nie przejdą nauk elementarnych na miejscu w polskim języku, lecz budynku na szkołę nie mają. Jeden z kolonistów odnajmuje gminie na ten cel izdebkę koło stajni, w której jednocześnie pomieszcza się nauczycieli. Zwyczajnie uczy który z wędrownych Polaków, w braku innego zajęcia, lub starzy weterani miejscowi, niezdolni do żadnej roboty. Z tego powodu zmiany nauczycieli częste i nieuniknione przerwy w naukach. Jedyną radą, by zapobiedz złemu, jest rozbudzić chęć w której z kongregacyi duchownych w kraju do wysłania na kolonię misyonarzy. Dom znaleźliby wygodny; gdyby wysłali 2 księży i 4 braciszków, obznajomionych z pracą około ziemi, mogliby z łatwością wyżyć z roli przy niewielkiej pomocy pieniężnej, którąby się zawsze znalazła.«

Stacya misyjna w *Adamówce* mogłaby być zarazem posterunkiem dla misyonarza, któryby od czasu do czasu mógł nawiedzać inne kolonie polskie, rozrzucone w **Rumunii, Bułgaryi** i **Turcyi.** Prócz tej jedynej kolonii w Azyi Mniejszej wiele innych znajduje się na granicy starej kolebki narodów.

Listy Unitów z *Orenburgskiej gubernii*, które z takiem zajęciem przez długi czas czytaliśmy, nieco odsłoniły nam ciemną zasłonę, przykrywającą smutny stan naszych rodaków, wygnanych z ojcowizny Unitów. Lecz nietylko oni się tam znajdują. W wielkiej ilości znajdują się Polacy obrządku łacińskiego, w Orenburgskiej gubernii i *Tyflisie*, w największej nędzy duchowej.

Długo musielibyśmy się rozpisywać, gdybyśmy chcieli przedstawić stan Polaków i Litwinów w rozległych guberniach *Tobolskiej*, *Tomskiej*, *Jenissejskiej*, *Irkuckiej*, gdzie ich naliczył Hübner w tablicach statystycznych z r. 1892, 35,000. W miastach gubernialnych znajduje się jeszcze teraz kapłan

polski — lecz czy jest w stanie wszystkim potrzebom zadośćuczynić, jeżeli n. p. jak parafia *Tomska*, obejmuje obszar 40,000 mil kwadratowych? Kto chce bliżej poznać nadludzką pracę pasterzy tamtejszych i potrzeby parafian, niech przeczyta artykuł: *Z życia sybirskiego proboszcza*, zamieszczony przed dwoma laty w „**Przeglądzie powszechnym.**" Wystarczy powiedzieć, że raz do roku — proboszcz może nawiedzić swoich parafian; w odleglejszych miejscowościach, często na lat parę. Prócz tych gubernii są też Polacy w guberniach jeszcze bardziej na wschód wysuniętych, za jeziorem *Bałkajskiem*, w *Jakuckiej gubernii*, w *Kamczatce*, co więcej nad Amurem, częścią w Rosyi, częścią w **Mandżuryi**, należącej do cesarstwa chińskiego, a jest ich w tej ostatniej krainie 25,000 podług ostatniej statystyki Propagandy. Wprawdzie i tam jest jeden kapłan polski, lecz czy jeden wystarczy na tylu Polaków? Jeżeli ten kapłan we własnych potrzebach duchowych jest zmuszony od czasu do czasu aż do *Japonii* udawać się, aby tam przystąpić do św. Sakramentów, bo niema bliżej innego kapłana: cóż powiedzieć o innych potrzebach parafian, którzy przykuci do jednego miejsca, na obszarach niezmiernych, bez żadnej pociechy duchowej, wyczekują, aż na nich przyjdzie kolej odwiedzin proboszcza!

Z kolei wypadałoby coś powiedzieć o **Ameryce Północnej,** w której już przeszło półtora miliona Polaków się znajduje. Tyle jednak w ostatnich czasach pisano o tamtejszej Polonii, zwłaszcza z okazyi wystawy Chicagowskiej, że nowego coś powiedzieć byłoby rzeczą trudną. Jakkolwiek i tam brak jest kapłanów, zwłaszcza ożywionych duchem Bożym, to jednak każda większa miejscowość posiada proboszcza, ludność dużo ma tak zwanej inteligencyi, więc łatwiej i sama sobie poradzi i tym, którzy opieki duchowej potrzebują.

W trudniejszych warunkach znajdują się koloniści polscy i robotnicy w **Kanadzie,** gdzie rozrzuceni na ogromnych obszarach, niełatwo mogą zadośćuczynić swym potrzebom duchowym. Pisał do nas jeden z tamtejszych misyonarzy francuskich, aby mu przysłać pytania i odpowiedzi po polsku spisane, któremi pragnąłby posługiwać się przy słuchaniu spowiedzi naszych rodaków. Wobec dzisiejszego ruchu emigracyjnego do Kanady, wartoby pomyśleć o kapłanach polskich, którzyby po nowych koloniach poświęcili się zamieszkać.

W niesłychanie gorszych warunkach znajdują się wychodźcy polscy w **Brazylii i Argentynie.** Już przed ośmiu laty pisał do nas z okolic *Kurityby* X. I. Adamowski o tamtejszych stosunkach: » *Apatya religijna i obojętność w rzeczach wiary św. jest tu w całej Brazylii tak powszechną, że aż serce ściska. Nikt się tu prawie nie modli, ledwie kto do kościoła chodzi, kazania są bardzo rzadkie. Na* 10,000 *mieszkańców w Kurytybie, do spowiedzi raz w rok w czasie wielkanocnym przyjdzie około* 50 *ludzi: Brazylijczycy, mieszkający nieco w oddaleniu od miasta, o sakramentach, o katechizmie pojęcia nie mają, świąt żadnych nie obchodzą.... Wolnemularstwo dzierży od dawna tu ster rządów. Członkowie jego bezwyznaniowi i wprost nieprzyjaźni religii, usiłują stłumić w samym zarodzie wszelkie objawy gorliwej działalności na polu religijnem.* »

W ostatnich latach stosunki tamtejsze pod względem duchowym znacznie się pogorszyły. Po zniesieniu niewolnictwa w Brazylii, zwerbowano w dwu tylko latach: 1890 i 1891, około 60,000 polskich robotników, częścią, aby ich zająć w plantacyach, częścią by osiedlić na pustkowiach i w lasach dziewiczych. W obecnej chwili znajduje się polskich wychodźców razem z dawniejszymi około 100,000, przeważnie w prowincyach *Rio grande do Sul*, *S. Catharina*, *Parana*, *São Paulo*. Mniejsza część znajduje się po rzadko rozsianych tamtejszych miastach, większość potworzyła nowe osady po kilkadziesiąt i więcej rodzin n. p. nad rzeką *Iguassu*, lub w lasach przez siebie wykarczowanych. Kilku kapłanów podążyło za nimi, aby ratować opuszczone dusze, lecz na tamtejsze ogromne obszary wobec braku komunikacyi kolejowej, najczęściej też i kołowej, liczba duszpasterzy absolutnie jest niewystarczającą. Jeden z kapłanów polskich, X. Możejewski, na wołania o pomoc biednych naszych rodaków udał się z Ameryki Północnej, gdzie był proboszczem, do prowincyi *Rio Grande do Sul* ze znacznym własnym funduszem, aby nie być nikomu ciężarem. Konno, jak prawdziwy misyonarz, nawiedzał osady polskie, krzepił je słowem Bożem i Sakramentami św. Lecz gdy coraz więcej okazywało się potrzeb, a sam będąc już wiekowym, czuł że nie wytrzyma dalszej takiej pracy, na przestrzeni wielkiej jak Francya — sam jeden, kapłan — Polak —, zjechał do nas do *Krakowa*, w tej myśli, że zwerbuje na tę pracę ochotników.....

Kolonie w *Rio dos Patos*, *San Mateo*, *Rio Negro*, *Rio Pequeno*, *Capivari*, *San Bento*, *Rio Vermelho* i wiele innych, których szereg za długi, nie mają ani jednego księdza. W listach stamtąd pisanych do **Przeglądu Emigracyjnego** i do nas, czytamy bezustannie

prośby, to o książki treści religijnej, to o pomoc w przysyłaniu im kapłana.

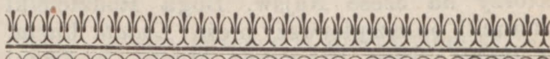
Gdy X. Lipiński T. J., z galicyjskiej prowincyi, był wysłany przed 40 laty do kolonistów niemieckich w *Rio Grande do Sul*, zastał tam samozwańczych kapłanów, prostych ludzi, bez żadnych święceń, którzy odbywali funkcye kapłańskie i nauczali wiary według własnego rozumu. To samo stać się może z naszymi rodakami: dzieci wzrastać będą w niewierze, starsi wiarę utracą, a ile wypadków śmierci, tyleż będzie dusz schodziło z tego świata bez Sakramentów świętych....

W bieżącym roku (1893) i w sąsiedniej Brazylii **Argentynie** liczne grono Polaków prosiło o przysłanie im kapłana polskiej narodowości. Są kolonie po kilka i kilkanaście rodzin w **Paraguayu, Uruguayu,** nawet i w **Chili,** bez żadnej duchowej opieki. Niejednokrotnie murzyni i murzynki zajmują się polskimi sierotami, by marnie nie zginęły — lecz czy wszędzie znajdzie się litościwe serce wśród pogan?

Wszystko to woła do nas o pomoc — czy listem, czy wymowniejszem w nędzy milczeniem: przysyłajcie księży! — do ochronek książki polskie, aby nie zmarnieć wśród duchowego głodu, stokroć gorszego od samej śmierci!

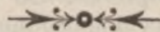
W szczęśliwszem położeniu znajdują się Polacy w **Australii,** między którymi od lat dwudziestu kilku pracuje Jezuita O. Rogalski. Jednak i oni znajdują się w wielkiej potrzebie duchowej. » *W całej kolonii australskiej,* — pisał do nas tenże kapłan w marcu roku 1892, *niema oprócz mnie żadnego innego polskiego misyonarza, któryby zaopatrywał duchowe potrzeby Polaków, rozproszonych w prowincyach: Queensland, Wiktoryi, Nowej Południowej Walii, a szczególniej w Nowej Zelandyi... Ach! gdyby Polacy mieli tu własnego, porządnego i statecznego nauczyciela, lub gorliwe Siostry zakonne, to we wszystkich sprawach cywilnych i religijnych mogliby pierwszą odgrywać rolę, a zarazem wychowywać swą młodzież na chwałę Boga i pożytek społeczeństwa. W obecnym stanie rzeczy, muszą oni wiele cierpieć, pod wpływem zaś innowierców, z którymi ciągłą mają styczność i powoli wstępują w ich ślady, poziom moralności znacznie się obniża. Przeto chyba cudowne miłosierdzie Boże zdoła utrzymać nadal tutejszych polskich osadników w pobożności i cnocie.* »

Dotychczas nie było jeszcze naszych emigrantów w **Afryce,** gdy oto dowiadujemy się, że z początkiem roku 1893 kilkunastu rzemieślników i wyrobników polskich z pod zaboru rosyjskiego udało się za zarobkiem, w towarzystwie 30 żydów, do południowej Afryki, a mianowicie do *Kaplandu*, kolonii angielskich. Liczba ich na razie nie wielka ma się zwiększyć niebawem, gdyż listy zachęcające stamtąd pisane i emisaryusze ukryci werbują ciągle lud polski. Być może, że potrzebna się okaże i w tym zakątku duchowna pomoc.......



PIERWSZE
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE
ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,
założonego przez
X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział III.

Pierwsza pieśń do Najśw. Maryi Panny. — Sposób odbywania zebrań niedzielnych, którego się trzymano w Oratoryum. — Dzień św. Anny. — Odwiedziny w warsztatach i sklepach. — Dobre serce pewnego chłopca i drzwi szklanne. — X. Bosko spowiednikiem. — Pierwsze trzechlecie Oratoryum.

Rysem znamiennym wszystkich dzieł Bożych jest to, że nieznaczne zazwyczaj bywają ich początki i że dopiero z biegiem czasu, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu dziwnie się rozwijają, jak gdyby przez to rozumowi ludzkiemu tem jaśniej miały dać poznać, że z nieba wyszedł pierwszy do nich popęd i że tam należy szukać racyi ich bytu. Jest to również cechą Oratoryum salezyańskiego, jak zaraz zobaczymy.

Chociaż pierwotną myślą księdza Bosko było zgromadzać takich tylko chłopców, którzy więcej od innych na niebezpieczeństwa byli wystawieni i najbardziej potrzebowali nauki wiary i dobrych obyczajów, to jednak, ażeby tem skuteczniej między nimi utrzymać ład i moralne prowadzenie się, już w pierwszych miesiącach, odkąd zaczęło istnieć Oratoryum, częścią zaprosił, częścią umiał doń przyciągnąć kilku chłopców, znanych mu z przykładnego sprawowania się i posiadających już pewien stopień oświaty. Chłopcy ci,

odpowiednio wpierw przez niego pouczeni, dopomagali mu w utrzymywaniu porządku pomiędzy współtowarzyszami, w odczytywaniu głośnem budujących książek, jak niemniej w śpiewaniu nabożnych pieśni, co wszystko razem wzięte nadzwyczaj się przyczyniało do urozmaicenia i ożywienia niedzielnych zebrań, oraz sprawiało, że były równie zajmującemi jak pożytecznemi.

W święto Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny, dnia 2 lutego 1842 r., zebrało się już grono, liczące około 20 młodych śpiewaków, którzy na cześć Najśw. Boga Rodzicielki zanucili po raz pierwszy pieśń: *Lodate Maria, o lingue fedeli* (Chwalcie Maryę, o języki wierne). W święto Zwiastowania Najśw. Maryi Panny, tegoż samego roku, liczba chłopców przenosiła już trzydziestu. W dniu tym na cześć Matki Najświętszej przystąpił rano każdy do św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza. Po południu zaś przenieśli się wszyscy do kaplicy przyległej do zakrystyi, gdyż na chórku nie mogli się już pomieścić.

Zebrania świąteczne odbywały się teraz w następujący sposób: Co niedzielę rano dawało się chłopcom sposobność spowiadania się i przystępowania do Stołu Pańskiego, lecz jedną niedzielę w miesiącu przeznaczano umyślnie na to, ażeby wszyscy wspólnie dopełnili tych praktyk religijnych. Po południu zaś, o oznaczonej godzinie, zbierało się całe grono w pomienionej kaplicy świątecznej, gdzie nasamprzód przeczytano ustęp z jakiej książki, traktującej o życiu duchownem, następnie śpiewano jaką pieśń nabożną; po niej następował wykład katechizmu, po katechizmie opowiedział X. Bosko jaki przykład budujący we formie kazania, a w końcu obdarowano ich jakim nadesłanym prezentem, i to każdego z osobna, lub też każąc całemu zebraniu ciągnąć o niego losy.

X. Dr. Guala i X. Caffasso cieszyli się niewymownie z tych zebrań dziatwy i młodzieży, której grono bez przestanku co niedzielę i święto rosło w liczbę. Od czasu do czasu dawali księdzu Bosko obrazki, drobne jakie pisemka, książki, medaliki i krzyżyki, ażeby je pomiędzy nich rozdał jako nagrodę. Niekiedy dostarczali mu środków pieniężnych, aby sprawił ubranie tym chłopcom, którzy tego najwięcej potrzebowali, niektórym z nich wystarali się nawet o wikt i dawali im utrzymanie przez kilka tygodni, dopóki sami własną pracą nie zdołali sobie na nie zarobić. W te święta zaś, w których wszyscy wspólnie przystępowali do Sakramentów św., zacni ci dobroczyńcy młodzieży przychodzili ich odwiedzić i opowiadali im przy tej sposobności jaką budującą powieść, czego jak wiadomo, chłopcy zawsze tak chciwie słuchają.

Młodzieńcze to grono składało się wówczas z kamieniarzy, sztukatorów, siodlarzy, a przedewszystkiem z murarzy. Z tego powodu X. Guala życzył sobie mocno, ażeby ze szczególną uroczystością obchodzono dzień św. Anny, patronki właśnie tego ostatniego zawodu. Kiedy więc nadszedł dzień 26^{go} lipca, zacny ten kapłan, po skończonem nabożeństwie porannem zaprosił do siebie wszystkich chłopców na śniadanie i zaprowadził ich w liczbie prawie 100 do wielkiej sali konferencyjnej w gmachu konwiktu duchownego. Tam urządził im prawdziwą niespodziankę, kazawszy stoły zastawić obficie i dając im do wyboru co kto chciał: mleko, czokoladę, bułki okładane, ciastka, cukierki i t. p., co wszystko sprawiło chłopcom wrażenie, jak gdyby zasiadali za stołem królewskim. „*Ileż to pięknych* casus conscientiae *z teologii moralnej rozwiązaliśmy wtenczas także my chłopcy przy tej sposobności w owej uczonej sali,*“ wspominał mi, niedawno jeszcze temu, jeden z ówczesnych biesiadników. „*Pamiętam jak dziś, jak trudności, które nam tam wówczas zastawiono, t. j. ciastka, znikały w oka mgnieniu ze stołu, że aż uciecha brała patrzeć. Można więc sobie wyobrazić, jaki rozgłos wywołało święto, w ten sposób obchodzone, pomiędzy naszymi towarzyszami, gdyśmy im o niem opowiadali. Od owego dnia, gdyby miejsce na to pozwalało, grono nasze, ani chybił, byłoby od razu wzrosło o jakie kilka set młodzieży. Bądź co bądź, całe nasze zachowanie się wówczas było pod każdym względem wzorowe, a korzyść duchowa, jakąśmy z okazyi tego święta odnieśli, niezmierna. Wydawało nam się doprawdy, jak gdyby w owym dniu Patronka nasza, a Matka Najświętszej Boga Rodzicielki, uśmiechała się do nas z niebios łaskawie i zaliczyła nas na zawsze do grona swoich wybrańców. A mieliśmy też tego rzeczywistą potrzebę: któż bowiem nie wie, na ile i na jakie nieraz niebezpieczeństwa bywają narażeni wyrobnicy i terminatorzy wszystkich rzemiosł bez wyjątku, a szczególnie murarze? Od owego jednak dnia nie przypomina sobie nikt, żeby który z nas padł ofiarą jakiego wypadku lub nieszczęścia.*“

Chociaż dwaj powyżsi kapłani z największą chęcią oddawali się na usługi zgromadzającej się w kościele św. Franciszka młodzieży i okazywali się jej stale przychylnymi, to jednakże duszą Oratoryum, właściwym opiekunem młodzieży, który najtroskliwiej się nią opiekował i prawdziwym stał się dla niej ojcem, był zawsze X. Bosko. Poświęcał

on dla chłopców nietylko dni świąteczne, lecz i wolne chwile w ciągu tygodnia. Jeżeli o którym z nich się dowiedział, że jest bez zajęcia lub że terminuje u niegodziwego majstra, wtenczas wszelkich dokładał starań, ażeby mu wyszukać odpowiednią do jego wieku i skłonności pracę i powierzyć go jakiemu uczciwemu i rzetelnemu chlebodawcy.

Na tem nie poprzestając, chodził prawie codziennie po różnych warsztatach, sklepach i fabrykach, odwiedzać ich przy pracy. Przy podobnych odwiedzinach X. Bosko to się zwrócił do tego, to stawił pytanie owemu, to znowu okazał swoje zadowolenie tamtemu, to dał jakiś podarunek innemu, a odchodząc pozostawiał wszystkich bez wyjątku w niewymownem weselu. Troskliwość ta, z jaką pobożny kapłan zajmował się terminatorami, przypadała nadzwyczaj do gustu ich majstrom i chlebodawcom, którzy nader chętnie przyjmowali do swych warsztatów lub fabryk tych chłopców, którymi tak po ojcowsku się opiekował nietylko w dni niedzielne, lecz także powszednie, i których stósownemi do ich wieku i zajęcia naukami nakłaniał do wiernej i punktualnej służby i pracy.

Na dowód niech posłuży następujące zdarzenie. Jeden z pierwszych wychowanków Oratoryum miał zajęcie jako kupczyk w pewnym składzie sukna, do którego prowadziły drzwi szklanne z ulicy *Doragrossa* (zwanej obecnie *via Garibaldi*). Pewnego dnia poczciwy chłopak widząc przechodzącego księdza Bosko, za pierwszym popędem serca wybiegł go przywitać, lecz zapomniawszy otworzyć drzwi, uderzył głową o szkło i potłukł je na kawałki. Na brzęk rozbitej szyby X. Bosko się zatrzymał, chłopiec zawstydzony zbliżył się do niego, kupiec zaczął krzyczeć, przechodnie i różne gapie miejskie nadbiegli z ciekawością.

—„*Coś ty zrobił?*“ pyta X. Bosko chłopca. Ten odpowiada prostodusznie: „*Widziałem, że X. Dobrodziej przechodził, a pragnąc go przywitać, nie uważałem na to, że powinienem wpierw drzwi otworzyć i oto je stukłem.*“

—„*No, już dobrze,*“ rzekł X. Bosko, „*ja za nie zapłacę.*“

—„*Nie*, powiedział wtedy właściciel składu, dowiedziawszy się o właściwym powodzie nieostrożności chłopca, „*nie pozwolę nigdy na to, żeby dla takiej drobnostki miało ucierpieć poczciwe serce tego chłopca i łaskawość księdza Bosko. Myślę, że na drugi raz nasz Karolek nie będzie chciał jak jaki duch przechodzić przez szyby.*“

Ukończywszy w tym czasie studya teologii moralnej, X. Bosko złożył egzamin na spowiednika, poczem z tem większym skutkiem mógł oddać się pracy nad swymi ukochanymi przyjaciółmi. Wszyscy bo chcieli u niego się spowiadać i było rzeczą pocieszającą, szczególnie w dni świąteczne, widzieć konfesyonał księdza Bosko otoczony 40 do 50 chłopcami, wyczekującymi cierpliwie nieraz całemi godzinami, aż przyszła na każdego z nich kolej, by mu powierzyć tajnie swojego serca.

Tak oto szły sprawy w pierwotnem Oratoryum przy kościele św. Franciszka z Asyżu, przez blisko trzy lata t. j. aż do października r. 1844, w którym to czasie zostało przeniesionem gdzieindziej.

W okresie tym, jeżeli w dni świąteczne X. Bosko musiał się gdzie z Turynu oddalić, zastępowali go w Oratoryum dwaj wyż wspomnieni kapłani, lub ktoś inny, przez niego w tym celu uproszony.

Rozdział IV.

Ofiarują księdzu Bosko posadę administratora (zarządcy) parafii. — Za radą swego kierownika duchownego przyjmuje miejsce kapelana w *Rifugio* (schronisku [1]). — Przeniesienie Oratoryum tamże. — Najazd chłopców. — Wesoły teatr. — Pierwszy kościół na cześć św. Franciszka Salezego.

Pod koniec roku szkolnego 1844 nadeszła dla naszego księdza Bosko, który dawno już był ukończył zwykłe studya kapłańskie, a w konwikcie duchownym przeszło od roku pozostawał jako zastępca profesora teologii moralnej (wyręczając właściwego jej nauczyciela, księdza Caffasso) chwila, w której miał obrać sobie pewien jakiś dział duszpasterskiego zawodu i wystąpić z konwiktu. Wielu proboszczów życzyło go sobie i żądało za wikarego. Pomiędzy innymi upatrzył go sobie X. Józef Comollo, proboszcz w Cinzano, jako administratora, czyli zarządcę swej parafii, którą dla podeszłego wieku i skołatanego zdrowia nie mógł już dalej się zajmować, a na co zyskał był poprzednio zezwolenie Najprzew. Arcybiskupa, X. Fransoni'ego. Lecz Wszechmogący Bóg, który w miłosierdziu swojem czuwał

[1]) *Rifugio* jestto schronisko, przeznaczone dla dziewcząt, położone w dzielnicy Valdocco w Turynie; blisko niego znajduje się *Ospidaletto* (mały szpital) św. Filomeny dla chorych dziewcząt, — dwa wyborne zakłady, wzniesione kosztem niemniej szlachetnej jak dobroczynnej Markizy Julii Falletti di Barolo.

opatrznie nad tylu biednymi i opuszczonymi młodzieńcami, inaczej pokierował losami tego, który miał się stać walnem narzędziem ich zbawienia. Za radą księdza Guala, X. Bosko wystósował pismo z podziękowaniem na ręce Najprzewielebniejszego X. Arcypasterza, w którem go jednocześnie upraszał, aby go zwolnić raczył z obowiązku bez wątpienia wielce zaszczytnego, ale do którego nie czuł w sobie powołania.

Prośba została uwzględnioną.

Pewnego dnia X. Caffasso wezwał księdza Bosko do siebie i rzekł mu:

—„Ukończyłeś studya, trzeba ci więc wyjść na otwarte pole, by pracować dla dobra dusz. W naszych czasach potrzeby są wielkie, a żniwo obfite. Do czego w sobie czujesz szczególniejszą skłonność?“

—„Do tego, co księdzu dyrektorowi będzie się podobało mi wskazać,“ odpowiedział X. Bosko.

—„Są trzy posady do objęcia,“ ciągnął dalej X. Caffasso: „jako wikarego w Buttigliera d'Asti, jako zastępcy profesora teologii moralnej tu w konwikcie (czem *de facto* jesteś już obecnie) i jako kapelana w szpitaliku św. Filomeny opodal *Rifugio*. Którą z nich byś obrał?“

—„Tę, którą mi ksiądz dyrektor naznaczy.“

—„Nie czujesz w sobie więcej skłonności do jednej, aniżeli do drugiej?“

—„Czuję w sobie skłonność do zajmowania się młodzieżą. Ksiądz dyrektor jednakże niech robi ze mną co sam zechce; radę, jaką mi da, z góry przyjmuję jako wolę Bożą dla siebie.“

—„W obecnej chwili do czego ciągnie cię serce? Co zaprząta twój umysł?“

—„Zdaje mi się w tej chwili, że znajduję się wśród gromady chłopców, którzy żądają odemnie pomocy.“

—„Dobrze. Idź więc na kilka tygodni do domu na wakacye,“ zakończył światły doradca, „a za powrotem powiem ci, do czego będziesz przeznaczonym.“

Po wakacyach powrócił X. Bosko do konwiktu do swego niezrównanego mistrza i przyjaciela, lecz ten z początku nic mu nie mówił, on zaś również o nic nie pytał. Po kilku tygodniach X. Caffasso, wziąwszy księdza Bosko na stronę, zapytał go dobrotliwie:

—„Dlaczegóż mnie nie pytasz, jakie ma być twe przeznaczenie?“

—„Ponieważ,“ odpowiedział tenże, „w postanowieniu księdza dyrektora upatruję dla siebie wolę Pana Boga i wiele mi na tem zależy, by nic nie dodawać ze swego.“

—„Kiedy tak, więc zabierz się i idź do *Rifugio* (schroniska). Będziesz tam kapelanem małego szpitala św. Filomeny i wspólnie z księdzem Dr. Borel będziesz pracował dla dobra dusznego dziewcząt tego zakładu. Pan Bóg niezawodnie wkrótce da ci poznać, co masz czynić dla dobra biednej i opuszczonej młodzieży.“

(Ciąg dalszy nastąpi).



ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Ktokolwiek zastanowi się bliżej nad stopniowym rozwojem zakładów, przez X. Bosko do życia powołanych, tego przedewszystkiem musi uderzyć ich materyalna strona. Zakłady te muszą dać utrzymanie wielu kapłanom, obsługującym je; klerykom, kształcącym się na kapłanów salezyańskich; koadjutorom (*braciom laikom*), prowadzącym warsztaty i domowe gospodarstwo utrzymującym; zakonnicom, wychowującym i kształcącym dziewczęta; muszą ponosić koszta podróży i utrzymania w dalekich krajach misyonarzów; muszą budować, rozszerzać, naprawiać i utrzymywać budynki w setkach domów po różnych krajach rozrzuconych; muszą stutysięczną armię dzieci wyżywić, ubrać i dostarczyć im naukowej pomocy.

Wydatek na to wszystko codzienny już ogromną sumę przedstawia, a cóż dopiero miesięczny, a tem bardziej roczny. I jakby ten ciężar był jeszcze za lekki, Ojciec św. Leon XIII polecił księdzu Bosko wystawić nowy kościół w Rzymie, na *Castro Pretorio*, pod wezwaniem Najsłodszego Serca Jezusowego, przy którym stanęło *schronisko* dla dzieci wszelkich narodowości, co także ogromne sumy pochłonęło. A tymczasem główny dom salezyański, **Oratoryum**, niemiał i niema na to żadnych, zgoła żadnych funduszów, prócz dobrowolnych ofiar.

Można wprawdzie przy zapobiegliwości i w pewnym przeciągu czasu zebrać tyle ofiar, aby za nie kościół módz wystawić: lecz jeżeli co tydzień trzeba ponosić takie wydatki, jak na zbudowanie jednego kościoła, kto zechce tyle ofiar dostarczyć?

A jeżeliby ich nawet dostarczono przez kilka, lub kilkanaście tygodni, czy się ofiarność taka wreszcie nie znuży i nie wyczerpie? Tymczasem dzieło salezyańskie wciąż się rozszerza, liczba kościołów, zakładów i domów, a z nią liczba kapłanów, dzieci i zakonnic ciągle wzrasta, a więc i wydatki, już i tak ogromne, rosną coraz bardziej.

Któż temu podoła?

X. Bosko zawsze odpowiadał, odpowiadał od samego początku, że Opatrzność Boska za przyczyną Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych wszystkiego dostarczy. Ale Ona dostarczy tylko przez ludzi, jakże więc ich skłoni, aby byli niewyczerpanymi w ofiarności swojej?

Aliści Opatrzność obmyśliła na to skuteczny środek: *łaski cudowne* i *uzdrowienia niezliczone*, za które ci wszyscy, którzy ich doznali, wywdzięczają się ofiarami i datkami pieniężnymi, na zakłady X. Bosko chętnie i skwapliwie znoszonymi. Nagli ich zaś Opatrzność nie przymusem, lecz miłosierdziem nieustającem, i oni też nie ustają w dawaniu.

W *Bollettino Salesiano*, organie swego Zgromadzenia, corocznie w styczniowym zeszycie zamieszczał X. Bosko (tak samo jak to obecnie czyni jego następca) list do swoich Pomocników, w którym im zdawał sprawę z tego, co zdziałało w roku poprzednim Zgromadzenie salezyańskie, i co w nowo rozpoczynającym się zdziałać zamierza. Wszystkie te sprawozdania przekonywują o przedziwnym wzroście i szerzeniu się zakładów salezyańskich; ale co w nich najwięcej zdumiewa, to ta nieograniczona ufność w Opatrzność Boską i Opiekę Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, jaka ożywiała świątobliwego Założyciela tych wszystkich zakładów pobożnych i miłosiernych.

„*Podejmowanie tylu przedsięwzięć kosztownych, czyż nie jest kuszeniem Pana Boga?*“ tak pyta X. Bosko w jednem z swych sprawozdań (za rok 1882) i odpowiada, iż tak nie sądzi. „*Bóg wielorakimi faktami okazał, iż zatwierdza naszą w Nim ufność. Pokazał nam to słowami zachęty, otrzymywanej wciąż od Ojca Świętego i od wielu osób znakomitych; pokazał nam to błogosławieństwem, jakie towarzyszyło dawniejszym naszym zamiarom i pomocą, jakiej nie przestaje nam dawać w wykonywaniu coraz nowych dzieł na chwałę Jego podejmowanych. To też i ja i wszyscy Salezyanie do głębi jesteśmy wzruszeni a zarazem na duchu umocnieni, gdy od przeróżnych osób i z przeróżnych krajów odbieramy na nasze zakłady nieustanne ofiary: jedne przeznaczone przez nadsyłających dla naszych sierot, inne na kościół i schronisko Najsłodszego Serca Jezusowego na Castro Pretorio w Rzymie, inne na nasze misye i t. d., a prawie wszystkie jako dziękczynienie za otrzymane łaski. Jesteśmy świadkami takich faktów nie co tydzień, ale codzień i kilka razy na dzień. Jeżeliż tedy Pan Bóg przemawia w sposób tak wymowny i tak skuteczny, jakżebyśmy jeszcze mogli mieć jaką obawę? Raczej powinniśmy otworzyć serce dla najświętszych nadziei i pracować dalej z otuchą dla chwały Boga, pewni, iż nie przestanie nas wspierać w miarę naszych potrzeb.*“

I tu przystępujemy do sprawy bardzo delikatnej natury, której zawsze z największą dotykać należy ostrożnością: jest nią niezliczona liczba uzdrowień i wszelkich innych łask osobliwych, otrzymywanych za wstawieniem Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych przez modlitwy sierot zakładów salezyańskich. Nie chcemy tu przesądzać sprawy świętości lub cudowności faktów, które chcemy na tem miejscu stale odtąd przytaczać: jest to kwestya, o której orzec może tylko Kościół; zamierzamy je przywodzić tylko jako dowód szczególniejszej Opieki Bożej i Matki Najświętszej Wspomożycielki, czuwającej wciąż nad zakładami księdza Bosko.

Te dziwne łaski zaczęły się objawiać (jak to już gdzieindziej o tem była mowa) przedewszystkiem w czasie, gdy X. Bosko budował kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych. Odtąd powtarzały się i powtarzają bez końca. Jakżeż tu nie przyjąć przypuszczenia, że Najświętsza Panna, rozdając tyle łask za wstawieniem się księdza Bosko i modlitw jego sierot, chciała tem samem objawić, jak przyjemnem Jej było tak owe dzieło, jak wogóle wszystkie inne zakłady świątobliwego kapłana i że tym sposobem pragnęła zapewnić środki materyalne do ich podtrzymania i rozszerzania?

Najświętsza Panna jest kwestarką dla moich sierot, tak wyrzekł razu pewnego X. Bosko, żaląc się gorzko, że niektórzy ludzie przypisują jemu te nadzwyczajne łaski, jakie tylko Zbawiciel nasz daje, a Najświętsza Panna wyjednywa na rzecz zakładów salezyańskich. Pokorny sługa Boży celem ich otrzymania zwykł był polecać je modlitwom tysięcy dzieci, przygarniętych w jego domach miło.

sierdzia. Najświętsza Panna słysząc tę wspólną modlitwę, ten zbiorowy głos wszystkich tych sierot, jakżeżby nie miała się przychylić do ich prośby? Czyż w braku ziemskiej matki nie jest Ona Matką niebieską wszystkich tych biednych dzieci? Właśnie dlatego oddaje im na pomoc całą potęgę swego błagalnego wstawiennictwa przed Bogiem; dlatego to wyjednywa te liczne łaski, przy pomocy których wznosił X. Bosko, wznoszą Salezyanie *oratorya*, te domy sieroce, w których jakby żywe wota, biedne dzieci, wyrwane z największych niebezpieczeństw, rozbudzają w sercach ludzkich pobożne uczucia wdzięczności i miłości chrześcijańskiej.

Medalik Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

Pewnej soboty w miesiącu maju r. 1869 do nowo wybudowanego i niedawno poświęconego kościoła Najświętszej Panny Wspomożenia weszła młoda dziewczyna wiejska z czarną przepaską na oczach, prowadzona przez dwie kobiety. Nazywała się Marya Stardero, ze wsi Vinovo; od dwóch lat była dotknięta chorobą oczu i wzrok straciła. W pielgrzymce obecnej towarzyszyła jej ciotka i druga sąsiadka, gdyż sama nigdzieby trafić nie mogła. Uklękła przed obrazem Najświętszej Panny, modląc się gorąco, po modlitwie zaś zażądała pomówić z księdzem Bosko.

Gdy stanęła przed nim, zawiązała się pomiędzy nimi w zakrystyi następująca rozmowa:

—„Od jak dawna cierpisz na oczy?“

—„Dawno już bardzo, jak choruję, ale od roku dopiero zaniewidziałam.“

—„Czyś się radziła lekarzy? cóż oni mówią na to? czy używałaś jakich środków?“

—„Używałyśmy wszelkich środków lekarskich,“ odrzekła ciotka chorej, „ale wszystkie nic nie pomogły. Lekarze twierdzą, że oczy są na zawsze zepsute i że niema żadnej nadziei.“ I zaczęła płakać.

—„Czy możesz rozróżnić grube przedmioty od drobnych?“

—„Nic zgoła nie rozróżniam, bo nic nie widzę,“ odpowiedziała dziewczyna.

—„Zdejm tę opaskę,“ rzekł wtedy X. Bosko; a ustawiwszy dziewczę naprzeciw okna, dobrze oświetlonego, zapytał: „czy widzisz światło w tem oknie?“

—„Niestety! nic a nic nie widzę.“

—„Czy pragniesz przejrzyć?“

—„Czyż mię potrzeba o to pytać? Jest to najgorętszem mem pragnieniem. Jestem biedną dziewczyną, a utrata wzroku czyni mnie nieszczęśliwą na całe życie.“

—„A czy będziesz wzroku twego używała na dobro duszy, a nie na obrazę Bożą?“

—„Z całego serca to przyrzekam, ale los mój bardzo smutny . . . .“ i wybuchła łkaniem.

—„Miej ufność w Najświętszej Pannie, Ona ci dopomoże.“

—„Ufam Jej, Ojcze, ale tymczasem jestem ślepa.“

—„Będziesz wkrótce widziała,“ rzekł X. Bosko.

—„Co? — będę widziała?!“

—„Na chwałę Boga i Najświętszej Maryi Panny powiedz, co ja trzymam w ręku?“

Dziewczyna poczęła wysilać wzrok, wlepiła oczy w przedmiot, trzymany w ręku przez księdza Bosko i naraz zawołała: „Widzę.“

—„Co widzisz?“

—„Medalik.“

—„Jaki?“

—„Najświętszej Panny.“

—„A co się znajduje na drugiej jego stronie?“

—„Staruszek z laską kwitnącą w ręku; to święty Józef.“

Przytomna temu ciotka dziewczyny nie mogąc się pohamować z podziwienia, zawołała: „Najświętsza Panno! a toć ty widzisz!“

—„Ależ tak, widzę. O mój Boże, to Najświętsza Panna uczyniła mi tę łaskę.“

Równocześnie wyciągnęła rękę po medalik, ale ten zesunął się z ręki kapłana i pokulał się w najciemniejszy kąt w zakrystyi. Ciotka schyliła się, chcąc go podnieść, ale X. Bosko nie pozwolił. „Nie przeszkadzaj jej, zobaczymy, czy Najświętsza Panna wyjednała jej zupełne odzyskanie wzroku.“

Dziewczyna zaraz i bez trudności znalazła medalik. Wtedy, jakby oszalała, zaczęła wykrzykiwać radośnie i nie rzekłszy słowa do nikogo, nie myśląc nawet podziękować Panu Bogu, puściła się spiesznie do Vinovo, a za nią poszły ciotka i druga kobieta. Wkrótce wszakże wróciła podziękować Najświętszej Pannie i przyniosła ofiarę dla kościoła. Odtąd nie cierpiała nigdy na oczy i wzrok miała doskonały. Dziwnem zdarzeniem ciotka, która jej towarzyszyła, straciła równocześnie reumatyzm w łopatce i ręce prawej, na co cierpiała od bardzo dawna i co ją czyniło niezdolną do wiejskich zajęć.

Uzdrowienie kaleki.

Było to 16 listopada 1866 roku; budowano kopułę kościoła Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych i pracującym około niej majstrom i różnym przedsiębiorcom miał X. Bosko jeszcze tegoż samego wieczora wypłacić 4000 franków, a w kasie ani grosza, jak zwykle, nie było. X. Rua, prefekt domu, i kilku Pomocników salezyańskich od samego rana wyszedłszy na miasto po kolekcie, zeszli wiele ulic a więcej jeszcze schodów, i wróciwszy na południe do domu, przynieśli zaledwie 1000 franków. X. Bosko, widząc ich miny zafrasowane, rzekł: „Po obiedzie pójdę sam reszty poszukać.“ Jakoż o godzinie pierwszej wyszedł na miasto, licząc na pewno, że mu Opatrzność Boska przyjdzie jakoś w pomoc. Doszedłszy do Piazza Nuova stanął i myślał, w którą się udać stronę. Wtem zbliża się lokaj w liberyi i pyta:

—„Czy ksiądz dobrodziej nie jest przypadkiem X. Bosko?“

—„Tak, jestem X. Bosko, czegoż sobie życzysz?“

—„Mój pan prosi księdza dobrodzieja, abyś go natychmiast odwiedził.“

—„Chódźmy do twego pana; daleko mieszka?“

—„Niedaleko, tutaj przy końcu ulicy,“ i wskazał mu wspaniały pałac.

—„Czy ten pałac do niego należy?“

—„Rozumie się. To pan bardzo bogaty i mógłby coś dać na księdza dobrodzieja kościół.“

X. Bosko udał się za służącym, który go wprowadził do pięknego pokoju. Tu leżał właściciel pałacu w łóżku, złożony ciężką niemocą.

—„Ojcze szanowny,“ odezwał się do wchodzącego kapłana chory, „potrzebuję bardzo twych modłów; dopomóż mi do tego, abym wstał na nogi.“

—„Jak dawno Pan jesteś chory?“ spytał kapłan.

—„Już od trzech lat nie opuszczam łoża boleści; nie mogę się ruszyć, a lekarze żadnej mi nadziei nie zostawiają. Gdybym doznał choć małej ulgi, złożyłbym ofiarę na zakład księdza dobrodzieja.“

—„A to doskonale się składa,“ odrzekł kapłan, „dziś potrzebuję 3000 franków na budowę kościoła Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia.“

—„Trzy tysiące franków! Co też ksiądz dobrodziej mówisz! Żeby to jeszcze kilka set franków, to nie mówię .... ale trzy tysiące franków!“

—„Czy za wiele?“ rzekł X. Bosko; „w takim razie nie mówmy już o tem.“

I usiadłszy zaczął z największym spokojem rozmawiać o polityce.

—„Ależ, mój ojcze, mnie to mało obchodzi; a moje uzdrowienie?“

—„Pańskie uzdrowienie? toż ja właśnie Panu wskazuję środek, którego Pan nie chce.“

—„Ależ bo trzy tysiące franków!“

—„Nie nalegam.“

I zaczął mówić o deszczu i o pogodzie.

—„No, niech ksiądz dobrodziej wyprosi mi trochę ulgi w moich cierpieniach, a na pewno nie zapomnę o was przy końcu roku.“

—„Przy końcu roku! Ale może Pan nie pamiętasz, że my tej sumy potrzebujemy jeszcze dziś na wieczór.“

—„Dziś w wieczór! ależ sumy takiej nie mam nawet w domu u siebie, trzebaby mi iść dopiero po nią do banku, załatwić pewne formalności i t. d.“

—„A dlaczegożbyś Pan nie miał dziś pójść do banku?“

—„Żartuje chyba ksiądz ze mnie; od trzech lat już nie ruszyłem się z łóżka. Jestto niemożebne.“

—„U Pana Boga i Najświętszej Panny Wspomożycielki nie masz nic niepodobnego.“

Rzekłszy to X. Bosko zwołał do pokoju wszystkie osoby ten dom składające, w liczbie około 30, i naznaczył im modlitwy do Najświętszego Sakramentu i Matki Boskiej Wspomożenia; poczem kazał choremu podać ubranie.

—„Ubranie? ależ pan go nie ma, bo już się od trzech lat nie ubiera; nawet nie wiemy, gdzie się te rzeczy znajdują.“

—„To kupić je natychmiast,“ zawołał chory niecierpliwie; „róbcie, co wam ksiądz dobrodziej każe.“

W tej chwili wszedł do pokoju lekarz chorego i chciał się sprzeciwić temu, co nazywał najzupełniejszem szaleństwem, tymczasem znaleziono jednak ubranie i podano choremu; ten wstał z łóżka, ubrał się i ku niesłychanemu zdziwieniu wszystkich obecnych, a zwłaszcza lekarza, począł szerokimi krokami chodzić po pokoju. Rozkazał potem zaprządz a tymczasem posilił się z apetytem oddawna nieznanym. Wreszcie uradowany, bez niczyjej pomocy zeszedł po schodach, wsiadł do powozu i pojechał do banku. W kilka chwil później wręczył księdzu Bosko 3000 franków.

—„Jestem zdrów najzupełniej,“ powtarzał ciągle.

—„Pan wydobyłeś swoje dukaty z banku, a Najświętsza Panna Wspomożycielka

wydobyła Cię z łożka,“ odrzekł na to X. Bosko.

Wróciwszy na *Valdocco* wypłacił wieczorem robotnikom i majstrom, około kościoła pracującym, przypadającą im należytość. Uzdrowiony zaś ów pan pozostał przez całe życie stałym i wiernym dobrodziejem zakładów księdza Bosko.

Powołanie zakonne.

Hrabia Karol Cays de Giletta, potomek znakomitego rodu, był człowiekiem światowym, ale bardzo pobożnym i miłosiernym dla ubogich. Zostawszy wdowcem i ożeniwszy jedynego syna, znalazł się przy schyłku życia (liczył wtedy 63 lat) niezależnym i chciał to położenie swe zużytkować poświęcając resztę dni na pełnienie dobrych uczynków. Pewnego razu radził się księdza Bosko, jakiby mu wypadało kierunek obrać, a ten mu wręcz odpowiedział: „zostań Pan Hrabia kapłanem salezyańskim.“

Odpowiedź ta zdziwiła go do najwyższego stopnia, nie czuł bowiem żadnego powołania, a zaczynać studya kapłańskie mając lat 63, zdawało mu się nad siły; ale że miał wielkie poważanie dla księdza Bosko, rozważał jego słowa i w końcu poniekąd oswoił się z myślą, przez tegoż mu podaną. Natura jego wszakże była krnąbrna i nie dawała się tak łatwo okiełznać, rozmaite względy i wątpliwości wstrzymywały go od uczynienia ostatecznego kroku, a nawet zaczął sobie stawiać różne racye, aby tej myśli zgoła w czyn nie wprowadzać. Mówił sobie: „*Któż mi może zaręczyć, że X. Bosko się nie myli? Zapewne, że to jest światły mąż i święty człowiek, ale czyż chęć zdobycia jak najwięcej księży dla swego Oratoryum nie doprowadza go przypadkiem do przesady? Nie mogę brać lekko rzeczy tak ważnej i decydować się od razu i bez głębszego zastanowienia. Zobaczymy później.*“

Pewnego poranku — a był to dzień 23 maja r. 1877, wigilia święta Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych — udał się, jak to zresztą często czynił, do księdza Bosko. Zastał jego przedpokój pełen osób, z których każda po kolei wchodziła do małego pokoju, przeznaczonego na dawanie posłuchań. Hrabia Cays usiadł w rzędzie czekając, aż przyjdzie kolej na niego, a że się to przedłużało, zaczął się uważnie przypatrywać dwom swoim sąsiadkom. Jedna była kobietą w poważnym wieku, druga, jej córka, 10 lub 11 lat mająca, wydawała się bardzo cierpiąca [1]. Zapytana przez niego matka opowiedziała mu, że córka jej wskutek gwałtownych konwulsyi została sparaliżowaną, że w prawej ręce straciła władzę, a nogi tak ma słabe, że bez pomocy innej osoby ani stać, ani nawet siedzieć nie może; na domiar nieszczęścia straciło nieszczęśliwe to dziecko przed miesiącem mowę. Istotnie biedne dziecko, które matka na kolanach trzymała, zsuwało się co chwila, jak bezwładna masa, to z jednej, to z drugiej strony, a duże krople potu spływały po jego twarzy.

Gdy cierpienie biedactwa coraz się zwiększało a posłuchania bardzo przedłużały, matka ciężko westchnąwszy podniosła się z zamiarem oddalenia się, podtrzymując pod ramiona dziecko, którego kolana się uginały i które stawiało kroki z największą trudnością.

Widząc to obecni, pytali się, dlaczego odchodzi, nie widziawszy się z księdzem Bosko.

„Niestety,“ odrzekła, „nie mogę już dłużej czekać, bo córka cierpi bardzo, a ja muszę w tej chwili do domu powrócić. Jednak nie chciałam księdza Bosko długo zatrzymywać, pragnęłam tylko go poprosić o błogosławieństwo Matki Boskiej dla mego biednego dziecka.“ Dodała, że odkąd córka została sparaliżowaną i zupełnie utraciła mowę, najbieglejsi lekarze na tę chorobę nic pomódz nie mogli. W istocie na zadawane mu pytania dziecko odpowiadało tylko poruszeniem głowy, nie mogąc słowa przemówić. Wtedy obecni, zdjęci litością, postanowili nieszczęśliwej matce ustąpić pierwszeństwa i pozwolić jej pierwszej wnijść do pokoju księdza Bosko. Dla wszystkich było widocznem, że bez cudu dziecko to nie mogło być uzdrowione, a przynajmniej nie natychmiast.

Nagle przyszła hrabiemu Cays pewna myśl do głowy. Wzniósłszy się myślą do Najświętszej Panny, prosił Ją, aby go uczyniła świadkiem jakiej nadzwyczajnej łaski, którąby była dla niego znakiem, że wstąpienie jego do Salezyanów jest wolą Bożą; wtedy jużby się nie wahał uczynić tego, co mu radzi X. Bosko.

W kilka minut potem dziewczynka i matka weszły do pokoju księdza Bosko. Położywszy córkę na sofie, opowiedziała strapiona matka świątobliwemu kapłanowi swoje nieszczęście i że jedyną ma już tylko w Bogu nadzieję,

---

[1]) Była to pani Longhi z Turynu, z córką swoją Józefiną.

prosząc go jednocześnie z płaczem o modlitwę i wstawienie się do Boga za chorą.

Ksiądz Bosko zalecił jej ufność w pomoc Najświętszej Panny, polecił jej klęknąć i pobłogosławił chorą. Poczem kazał dziewczynce przeżegnać się, a gdy ta zabierała się do przeżegnania ręką lewą, rzekł jej: „przeżegnaj się, ale prawą ręką.“

—„Właśnie tą ręką poruszać nie może,“ powiedziała matka.

—„Więc niech spróbuje,“ odrzekł X. Bosko i polecił dziewczynce przeżegnać się.

Dziewczyna podnosi rękę sparaliżowaną, przykłada ją do czoła, potem do piersi, do ramienia lewego i do prawego.

—„Bardzo dobrze,“ rzecze jej X. Bosko, doskonale zrobiłaś znak krzyża świętego, ale nie powiedziałaś słów przeżegnania. Przeżegnaj się jeszcze raz, mówiąc tak jak ja: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.“

I dziewczynka, niema od miesiąca, żegna się i wymawia wyrazy przeżegnania się, a najżywszą radością zdjęta, woła: „mamo! Najświętsza Panna mnie uzdrowiła!“

Słysząc te wyrazy z ust swojej córki, matka wydała okrzyk radości i zalała się łzami. „Teraz,“ rzekł X. Bosko do uzdrowionej, „podziękuj Najświętszej Pannie i serdecznie zmów *Zdrowaś Marya*.” Dziewczynka zmówiła tę modlitwę wyraźnie i z wielką pobożnością. Ale to nie było wszystko; trzeba się było jeszcze przekonać, czy mogła się wyprostować i chodzić bez niczyjej pomocy. X. Bosko mówi jej tedy, aby się przeszła po pokoju. Dziewczynka podnosi się i chodzi. Wtedy nie mogąc już dłużej powstrzymać swego uniesienia, biegnie do drzwi, otwiera je i stając przed tymi, którzy ją dopieroco widzieli sparaliżowaną i niemą, głosem natchnionym radością i wdzięcznością woła: „Panowie, dziękujcie ze mną Najświętszej Pannie! Jej miłosierdzie mnie uzdrowiło. Patrzcie: ruszam ręką, chodzę, mówię.“

Widok ten i te słowa wywołały nieopisane wrażenie. Wszyscy otoczyli dziewczynkę; jedni płakali, inni modlili się, jeszcze inni wołali: „O wielki Boże! O Maryo! O co za cud! O szczęśliwe dziecko!“

Ksiądz Bosko sam był tak wzruszony, że drżał na całem ciele.

Hr. Karol Cays, świadek cudu, wszedłszy z kolei do pokoju księdza Bosko, rzekł: „Przyszedłem zakończyć sprawę mego powołania.“ I opowiedział, jakie sobie w myśli zrobił zastrzeżenie, teraz jednak ujrzawszy cud na własne oczy, postanowił zostać Salezyaninem, jeżeli będzie przyjętym. „Ależ jak najchętniej,“ odrzekł X. Bosko. W trzy dni później (26 maja) hr. Cays był już nowicyuszem salezyańskim, a r. 1878 wyświęconym został na kapłana. Roku 1882 zakończył swoje życie, zostawiwszy po sobie pamięć żarliwego i świątobliwego zakonnika.

Dziewczynka zaś, w tak cudowny uzdrowiona sposób, poświęciła się również służbie Najświętszej Panny i weszła do rodziny salezyańskiej jako *córka Matki Bożej Wspomożenia Wiernych.*

W ciężkiej chorobie dziecka udałam się do Przewielebnego X. Rua z prośbą o modlitwę dziatek księdza Bosko w Oratoryum turyńskiem. Po dwumiesięcznej chorobie, gdy już trudno było mieć nadzieję wyzdrowienia, Pan Bóg raczył okazać nad nami Swoje miłosierdzie. Za przyczyną Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych syn mój powstał z choroby. Polecając go i nadal modlitwom OO. Salezyanów i ich kochanych sierot, załączam ofiarę na podziękowanie i uproszenie, ażeby Bóg Wszechmogący za wstawieniem Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki synowi memu w naukach dopomagać raczył, jak również, aby tego zdrowia, tak cudownie odzyskanego, na chwałę Bożą i zbawienie duszy swojej w całem swem życiu używał.

Kamieniec podolski.

Marya Malinowska.

Nadsyłam 30 marek w złocie na cele Zgromadzenia salezyańskiego; nieco później nadeślę 20 marek na ten sam cel. Tych 50 marek jestto ślubowana Najświętszej Maryi Pannie Wspomożenia Wiernych ofiara w dwóch ratach, jeżeli Ona w wielkiem zmartwieniu stanie do pomocy. Pomogła. Dlatego z wdzięczności nadsyłam pierwszą ratę i proszę Przewielebnego Ojca w „*Wiadomościach salezyańskich*“ na Jej cześć to rozpowszechnić — bo i to ślubowano, — aby jak najwięcej skłopotanych wiernych do Jej szczególnego Wspomożenia się z żywą wiarą uciekało.

Proszę też jeszcze w pewnym ciężkim kłopocie o Wasze gorące modlitwy. Ja mam niezłomną zawsze nadzieję w pomocy Najśw. Maryi Panny. Jeszcze raz upraszam, abyście mnie tam wszyscy u Niej poparli . . .

Mechowa pod Puckiem (Prusy zach.).

X. B.





Wyspa **Dawson**, dnia 22 grudnia 1895.

SZANOWNY KSIĘŻE REDAKTORZE,

Z wielką nieśmiałością piszę ten list do Wielebnego Ojca, onieśmiela mnie bowiem myśl, że przez tak długi czas pobytu mego na wyspie **Dawson**, po raz pierwszy dopiero zabieram się do pisania. Zachęcili mnie do tego nasi misyonarze rodacy, którzy przybyli do **Puntarenas** 5 grudnia, o godzinie 3 po południu. Przypadkowo znajdowałem się i ja wówczas w tem mieście dla załatwienia pewnej sprawy, wraz z teraźniejszym moim Przełożonym, księdzem dyrektorem PISTONE.

Skorom się tylko dowiedział, że parowiec się zbliża, pobiegłem co tchu do portu i serdecznie uściskałem nowo przybyłych rodaków. Lecz czy drogi Ojciec uwierzy? W pierwszej chwili nie potrafiłem rozmówić się z nimi jak się należy po polsku. Mimowoli z ust wyrywało się dziesięć słów hiszpańskich a jedno polskie. Tak to łatwo stracić można wprawę w używaniu własnego ojczystego języka, jeżeli się przez kilka lat nie miało sposobności do kogo w nim przemówić. Gdy piszę list, to jeszcze jakoś idzie, gdyż pisząc powoli, mogę się namyślić i ostatecznie znajdę każdy wyraz, którego mi potrzeba, lecz mówić płynnie po polsku, tak jak dawniej, będę mógł dopiero po dłuższem obcowaniu z świeżo przybyłymi rodakami.

Dwóch z nich zostawiono w **Puntarenas**, a dwóch pojechało z nami na wyspę **Dawson** pomagać nam w strzyżeniu owiec i w pakowaniu w miechy wełny, którą zazwyczaj wysyłamy do Anglii. (Zeszłego roku sprzedaliśmy 220 centnarów wełny, tego zaś roku myślimy sprzedać jej około 300).

Ostatnich dwóch Polaków wysłano do misyi św. **Rafała**. Misya ta znajduje się również na wyspie **Dawson**, lecz od miejsca, gdzie mamy naszą główną hodowlę owiec, będzie na jakie cztery mile oddaloną.

Indyan mamy w misyi św. **Rafała** blisko trzystu, licząc w to także ich dzieci, jak również wychowanków i wychowannice naszych Sióstr Salezyanek. Rodziny indyjskie, które między nami przebywają już piąty rok, przychodzą często do spowiedzi św. i w większe święta przystępują do Stołu Pańskiego.

Niedawno przywiózł nam okręt rządowy z jakie 60 kobiet z Ziemi Ognistej; ich mężowie częścią pouciekali, częścią zginęli od kul żołnierzy.

Ksiądz Przełożony, chcąc tym nieszczęśliwym, którzy zdołali się ocalić, oddać napowrót ich żony, wysłał na Ziemię Ognistą kilkoro Indyan nawróconych, ażeby ich sprowadzili do domu misyjnego. Istotnie po dwóch tygodniach przyprowadzili ich z sobą przeszło 20stu. Wysłał ich jeszcze raz, dotąd jednakże nie powrócili. Okręt rządowy dał nam znowu znać, że ich wysadzi kilkunastu na wyspę.

Widzi więc kochany Ojciec, że pracy jest wiele. Nowoprzybyłym Indyanom trzeba stawiać chaty, ścinać i przywozić drzewo z lasu, gdyż oni sami zrobićby tego nie potrafili, a powtóre nie chcą się zabrać do jakiej pracy. Całe ich życie zasadza się na jedzeniu. Gdy są nasyceni, obwijają się w skóry zwierząt i leżąc grzeją się przy ogniu. Wielu Anglików, a oprócz nich także kilku żydów (gdzieby tych nie było), mają na wyspie liczne trzody owiec; liczą je na setki tysięcy sztuk. Otóż Indyanie kradną je bez żadnego skrupułu, targając druty, utwierdzone w żelaznych słupkach i okalające miejsca, gdzie się owce zwykle spędza na noc. Pasterze mają rozkaz strzelać do nich jak do zwierząt. Stąd wielu bardzo z tych biedaków ginie marną śmiercią. Raz zakradli się Indyanie do owczarni i wypuścili około 500 owiec. Owczarze, spostrzegłszy to, puścili się za nimi w pogoń, lecz nie schwytali żadnego, a co dziwniejsza, nie znaleźli też ani jednej owcy.

Ja dotychczas zawsze byłem nimi zatrudniony. We dnie przyuczam ich do pracy i wprawiam do różnych zajęć, wieczorem zaś wykładam im katechizm. Teraz jednakże, odkąd kochani moi rodacy wyręczają mnie w tem i owem, jestem nieco wolniejszym.

Gdyby drogi Ojciec słyszał, w jaki sposób udzielać trzeba pierwszych lekcyi katechizmu, nie powstrzymałby się z pewnością w pierwszej chwili od śmiechu.

Zaczynamy od robienia znaku krzyża św. Biorę Indyanina za rękę i znacząc mu czoło, piersi i ramiona, każę powtarzać za sobą: *En el nombre del Padre y del Hijo y del Espiritu Santo*, bełkocze wprawdzie coś, z czego jednakże nic nie można zrozumieć. Zaczynam Ojcze nasz: *Padre nuestro que estas en los Cielos, santificado sea el tuo nombre...* Mówię im, żeby mówili głośniej, gdyż nic nie rozumiem. Zaczynają wtenczas wrzeszczeć na całe gardło: *Guaterdanten, Anterdanten, Tanterdanten* i t. p. głupstwa. Nie piszę wszystkiego, gdyżbym nie skończył. Trzeba im po kilkaset razy powtarzać jedno i tosamo, aż nareszcie cośkolwiek sobie zapamiętają.

Dotychczas ochrzciliśmy z nich już kilkaset, Pan Bóg bowiem widocznie błogosławi naszej pracy.

Siostry Salezyanki, których tu już mamy sześć, tęsamą mają pracę z kobietami, ucząc je katechizmu i różnych robót kobiecych.

Kończąc ten pierwszy list, proszę kochanego Ojca, by mi wybaczył moje dotychczasowe niedbalstwo. Myślę, że powoli zawiąże się pomiędzy nami częstsza korespondencya, tem więcej, że jest nas tu obecnie kilkoro.

Pozdrawiam serdecznie wszystkich Przełożonych i braci rodaków. **Jan Sikora.**

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.